

POLEMKA Z MACIEJEM PODGÓRSKIM

Wrócić czy nie wrócić?

Romuald Mikoszewski str. 4

W ANKIECIE „KAMENY”

WYPOWIADA SIĘ

SZYMON

KOBYLIŃSKI

str. 6



# Kamena

LUBLIN 9 XII 1979 NR 25 (693)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

W NUMERZE:

ŹRÓDŁA

CZTERY KOLUMNY MŁODOLITERACKIE



— Ja też byłem młody!

Rys. Antoni Chodorowski

## Czekając

## na

## „Złoty węgiel”

Bronisław Kowalski

**Z** DOBYLEM niedawno osobliwy dokument: plan działalności kulturalnej, opracowany w Radzie Zakładowej Kombinatu Budownictwa Górniczego „Wschód” w Łęcznej. Postanowiłem zachować owe dwie i pół strony maszynopisu w prywatnym archiwum ze względu na fakt, że to pierwszy zapis projektów dotyczących życia kulturalnego w Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Być może w roku 2000 przy okazji kolejnej Barbórki pokażę działaczom w Łęcznej skromny plan z roku 1979 i zanotuję wspomnienia, opowiadane jakby z innej epoki.

Próba opisania teraźniejszego stanu życia kulturalnego i artystycznego w Lubelskim Zagłębiu Węglowym niejednemu wydać się może przedwczesna, jeśli nie beznadziejna. Wprawdzie od kilku miesięcy kilka

osób w Radzie Zakładowej Kombinatu głowi się nad problemami kultury a zadaniem najcięższym „ruszania mózgiem” w tej sprawie obarczono Jerzego Kargola, lecz wszyscy są w sytuacji pierwszej jaskółki, od której nikt specjalnie wiosny nie oczekuje. We wspomnianym planie działalność ujęto w zaledwie cztery punkty, zaś najczęściej powtarzonymi słowami są: „rozpoczęcie”, „nawiązanie” i „utworzenie”. Ani razu nie występuje słowo „kontynuacja”. Mamy zatem do czynienia ze zjawiskiem tworzenia się życia kulturalnego prawie od zera.

Należy od razu postawić zastrzeżenie: zjawisko nie jest tak dalece osobne i niespotykane, by emfaticznie nad nim „achać” i „ochać”. Nie tak

Dokończenie na str. 5

## DYSKUSJE „KAMENY” PRZED VIII ZJAZDEM PZPR

**Tadeusz Jasiński:** — Skoro mamy mówić o eksporcie, powiedzmy sobie na wstępie, jakie mieliśmy zadania na ten rok?

**Jan Mazurek:** — Mamy wyeksportować z naszego regionu towarów za 1 300 758 000 złotych dewizowych. Do krajów Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, od których najczęściej kupujemy, mamy sprzedać wyroby o wartości 790 178 000 złotych dewizowych, natomiast do drugiego obszaru płatniczego, czyli do państw zachodnich — 510 580 000 złotych dewizowych.

**T. J.:** — Złoty dewizowy to obecnie...

**J. M.:** — ...wartość około szesnastu złotych obiegowych na rynku wewnętrznym... Wracam do poprzedniej myśli. Największy udział w eksporcie regionu ma województwo lubelskie, bo aż 72,5 proc. (a w tymże Lubelskiem ok. 56 proc. towarów pochodzi ze świdnickiej WSK, puławskich Zakładów Azotowych i lubelskiej Fabryki Sa-

## NASZ EKSPORT

W Wytycznych Komitetu Centralnego na VIII Zjazd PZPR mówi się sporo o eksporcie, o międzynarodowym podziale pracy. Zorganizowaliśmy w naszej redakcji dyskusję na ten temat, pragniemy bowiem zorientować naszych Czytelników, jak ta sprawa wygląda w regionie środkowo-wschodnim. Wzięli w niej udział: Jan Mazurek — dyrektor Oddziału Polskiej Izby Handlu Zagranicznego w Lublinie, Andrzej Izdebski — specjalista do spraw marketingu Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku oraz Edward Lizak — dyrektor do spraw ekonomicznych i handlowych Zakładów Azotowych w Puławach. „Kamena” reprezentował Tadeusz Jasiński.

mochodów Ciężarowych), następnie 12,6 proc. daje Chełmskie, 8,3 proc. Zamajskie oraz 6,8 proc. Białskopodlaskie.

**T.J.:** — To plan, a realizacja?

**J.M.:** — W czasie trzech kwartałów zrealizowano dostawy eksportowe w 74 procentach, bo na sumę 961 736 000 złotych dewizowych.

W stosunku do analogicznego okresu roku ubiegłego jest to wzrost o 3,6 procent. Ale zadania w tym roku są poważniejsze. Azoty zmniejszyły swój eksport, bo w czasie roku okazało się, że potrzeby naszego rolnictwa na nawozy są większe, a nasze rolnictwo liczy się tu przede wszystkim.

**Edward Lizak:** — Plan jednak wyłonamy i przekroczymy, chociaż nawozów sprzedajemy w tym roku rzeczywiście o wiele mniej. Mamy nowy produkt eksportowy, o który ubiegają się różne kraje — melaminę.

ciąg dalszy na str. 3-4



# z notatnika

19.XI. „Nie mógłbyś pisać czegoś innego?” — zapytał mnie przed kilkoma dniami Z. mając na myśli rubrykę „Z notatnika”. Mogłbym. Ale z treści dalszej rozmowy wynikało, że jednak Z. notatnik czytuje. Nie tylko on, na co wskazują chociażby listy, które otrzymuję od czytelników. Najbardziej interesują ich sprawy lokalne, a ściślej mówiąc pewne moje uwagi krytyczne. „Po iluś tam latach — powiedział niedawno C. — twój notatnik może stanowić zwierciadło czasów, w których żyjemy”.

C. jest znanym komplementarzem, więc jego słów poważnie nie wziąłem do serca. Ale sobie nieco podumałem.

Wydało mi się, że w naszej prasie zbyt mało jest osobistego spojrzenia. Autor chętniej posługuje się formułą „my” zamiast „ja”. Często zabiera głos w imieniu „opinii społecznej”, w imieniu pisma, które reprezentuje („wydaje nam się, że...”) niż we własnym. Im mniejszy grajdoł, tym większy piedestał. Im mniejszy kościół, tym większy ołtarz. Rzadko też się zdarza, aby na łamach jednego pisma dwóch dziennikarzy miało odrębne zdanie. Kiedy na łamach „Kamenu” Maciej Podgórski pozwolił sobie nie zgodzić się ze Stanisławem Harasimiukiem i kiedy tenże Harasimiuk odpowiedział Podgórskiemu, a z kolei Podgórski Harasimiukowi itd., słyszałem tu i ówdzie opinie, że „Kamena” udostępniła kolumny na pyśkównki, na osobiste rozgrywki. Problem, który stanowił podstawę dyskusji, problem jak najbardziej ludzki, wydał się niektórym marginesem. Dostrzeżono pętlę, która gryzie słonia, ale samego słonia nie widziano. Był widocznie za blisko, aby mogło go objąć oko. A wystarczyło po prostu spojrzeć z pewnego dystansu.

To, o czym wyżej, można by z pewnością uogólniać.

Czas leci piekielnie szybko. Za półtora miesiąca minie piętnaście lat od dnia, kiedy powierzono mi redagowanie „Kamenu”. Przedtem przez siedemnaście lat żyłem w kręgu dzienników, które rządzą się swoimi prawami, które mają tę wyższość nad dwutygodnikami czy nawet tygodnikami, że można w nich wypowiedzieć się natychmiast. Komentarz napisany wieczorem już następnego dnia trafia do rąk czytelników. Nikt nie zarzuca, że powtarza się jakaś myśl za innymi, nikt sprzed nosa nie sprzątnie tematu. Jest się w stanie reagować błyskawicznie, z większą pasją. Ale w miarę upływu lat i pasja nie ta. Im bliżej niż dalej, człowiek pokornieje. W młodości wydaje mu się, że wie wiele. Gdy wiedzy i doświadczeń przybywa, gdy włos siwieje, krytyczym wobec siebie rośnie. Wobec bliźnich, wobec świata, w którym mu żyć przyszło — również.

Czuje, że przytłacza mnie współczesność najeżona rakietami. Cywilizowany świat jawi mi się jak wulkan, a homo sapiens brzmi coraz mniej dumnie.

Ow homo sapiens wymachuje dzisiaj tomahawkami, pershingami II. Tomahawkami, przy których indiańskie siekiery wydają się zabawkami dla niemowląt. Za cenę jednego lotniskowca można podobno zbudować 100 tysięcy mieszkań a za cenę jednego nowoczesnego czołgu wyposażać 520 sal wykładowych po 300 uczniów każda.

Pamiętam Wrzesień 1939 roku i gorzyc, że nasze niebo jest puste. Mój przyjaciel Sasza pamięta Czerwiec 1941 roku. Mamy wspólne doświadczenia, tragiczne doświadczenia, które nas łączą. „Armaty zamiast masła” — drwina z hitlerowców prasa polska przed wojną. Gdy te armaty oddały pierwsze salwy na Westerplatte, a

dalsze na Warszawę, zrozumieliśmy, że drwina nie jest bronią najpewniejszą.

Nieco chaotyczne są te moje myśli. Ale coraz lepiej rozumiem, że w 1945 roku bezpieczeństwa nie wywalczyliśmy raz na zawsze. A na każdego z nas żyjącego na ziemskim globie przypada dziś równoważnik 15 ton trotylu. Na unicestwienie człowieka wystarczy zaledwie gramów 15. Przeróżające to dane!

21.XI. Przeczytałem to, co napisałem przedwczoraj, brzmi to mi pesymistycznie. A przecież podejmuję się działania mające na celu odprężenie międzynarodowe. Trudno nie docenić układu SALT II, zawartego po wielu dyskusjach, trudno nie docenić doniosłej inicjatywy Breżniewa w sprawie redukcji wojsk radzieckich w NRD. Jeśli jednak Zachód zamierza rozbudować system rakietowy w RFN, Wielkiej Brytanii, Belgii, Holandii i we Włoszech i jeśli plany te zostaną wprowadzone w życie, może nastąpić powrót do zimnej wojny ze wszystkimi konsekwencjami. Kto będzie za to odpowiedzialny — nie trzeba palcem wskazywać.

24.XI. Dzień dzisiejszy jest ważnym dniem w moim życiu: 30-lecie wstąpienia w szeregi PZPR. Z partią człowiek się wiąże na dobre i na złe. Sukcesy partii są jego sukcesami, porażki — jego porażkami.

Nie lubię ludzi o podwójnej moralności. Z trybuny — wszystko na tak, prywatnie — wszystko na nie. Gdy się siedzi okrzakiem na barykadzie, łatwo z niej spaść i pogruchotać sobie kości.

Oczywiście nie wszystko mi się w kraju podoba. Uważam na przykład, że czas już załatwić pewne problemy mieszkaniowe związane pośrednio z nowym podziałem administracyjnym kraju. Tajemnicą polszynela jest, że skierowano tam, z uwagi na braki kadrowe, pewnych działaczy z dawnych siedzib wojewódzkich, co zwykle wiązało się z awansem. Otrzymali oni przeważnie większe czy mniejsze mieszkania. Ale gdyby tak przeanalizować: ilu spośród nich oddało swój dzielnicy swe poprzednie, M-4, M-5 itd?

Rzecz zrozumiała, że niektórzy mogą długo nie zagrażać (z różnych względów, z osobistymi włącznie) na nowych miejscach pracy. Wobec tego czy nie należało by zrobić tak: człowiek przekazuje stare mieszkanie w Lublinie, Łodzi, Krakowie etc., otrzymuje je w innym mieście, ale jednocześnie dostaje na piśmie wiążące zobowiązanie władz lubelskich, łódzkich, krakowskich etc., że w wypadku rezygnacji z pracy w terenie automatycznie, od ręki, ma nowy przydział mieszkaniowy, czyli zapewniony w każdej chwili powrót do „metropolii”. Posunięcie takie pomogłoby moim zdaniem w stabilizacji kadr, a niektóre, że się tak wyrażę, hotele przekształciłyby się w normalne domy. I zaoszczędzono by państwową benzynę, która często służy prywatnym przejazdom zwłaszcza w soboty i poniedziałki...

To, o czym wyżej, traktuję jako mój wniosek w dyskusji przedjazdowej.

29.XI. Mam w ręku drugi numer „Tygodnika Zamojskiego”, którego kierownictwo objął Andrzej Szwabę, wychowanek „Sztandaru Ludu”. Jego zastępcą został Zdzisław Kazimierzczuk, też były „szandarowiec”, który trochę pojeździł ostatnio po kraju, co z pewnością pozwoliło mu zdobyć nowy bagaż doświadczeń. Trzecim z „wierzchuzki” jest też doświadczony dziennikarz, Józef Lis. Wydało mi się, że ta kadra kierownicza powinna gwarantować dobry poziom pisma.

Warto, aby część nakładu znalazła się i w kioskach lubelskich, nie wszystkich naturalnie, ale tych położonych

w centrum miasta. Wielu byłych zamocian, i chyba nie tylko zamocian, z pewnością by tygodnik kupowało chociażby z sentymentu.

A więc: cała naprzód!  
30.XI. Lubelski teatr dramatyczny imienia (a nie imieniem, jak niektórzy mówili) w czasie uroczystości jubileuszowych) Juliusza Osterwy obchodzi swoje 35-lecie. Maria Bechczy-Rudnicka poświęca mu na łamach „Kamenu” osobne publikacje utrzymane w tonie stosownym. Maria Bechczy-Rudnicka to już cała instytucja i w jej tekstach boję się zmienić nawet słowo, ale to wcale nie oznacza, że nie mogę się z nią w pewnych kwestiach czy ocenach różnić. Bardzo żałuję, że nie doszła do skutku zamierzona realizacja „Wesela”. Jerzy Goliński zrezygnował z prób, a wieść nie sie, że jego współpraca z zespołem i dyrekcją teatru układała się jak po grudzie.

Zamiast „Wesela” ujrzelśmy więc na jubileuszu „Operetkę” Gombrowicza. Wybór z konieczności i, co tu dużo mówić, niezbyt fortunny na tę okazję. Szkoda jednak, że sala w tak uroczystym dniu nie była, ujmując rzecz delikatnie, zapelniona do ostatniego rzędu z balkonami włącznie. Dalsze miejsca zajmowała jakaś „wycieczka”, która, jak się zorientowałem z komentarzy, nie bardzo wiedziała, o co rzecz idzie, a kilkunastu panów opuściło teatr po pierwszym akcie. Wolno im.

Teatr otrzymał przyznany przez Radę Państwa Order Sztandaru Pracy II klasy, a kilkunastu członków zespołu odznaczenia państwowe i lokalne. Piotr Suchora, który zdezerterował do Gdańska, dostał Krzyż Brązowy. Nie tylko on zresztą wyjechał ostatnio z Lublina i te „dezercje” dają trochę do myślenia.

Rozumiem, że aktorzy lubią się sprawdzać i na innych scenach, ale z drugiej strony zastanawiam się, czy dyrekcja teatru czyni wszystko, aby tych najzdolniejszych, najbardziej przez publiczność lubianych zatrzymać.

Na jubileuszu było więcej telegramów niż gości, ale lubelskie władze wojewódzkie i miejskie zjawily się in corpore: I sekretarz KW jest wielkim miłośnikiem teatru, czemu dał wyraz w ciepłym wystąpieniu. Władze białsko-podlaskie nadesłały dwa telegramy: od I sekretarza KW i wojewody. Chelmski jubileusz nie dostrzegł. Może depeche gratulacyjne nadeszły później. Dla mnie największą frajdą były wspominki Ryszarda Hanin, grającej rolę panny młodej w pierwszym powojennym lubelskim „Weselu”, którego premiera odbyła się właśnie równo przed 35 laty. Ale te wspominki to już dzień następny i inne miejsce spotkania.

Tak się złożyło, że właśnie w tym samym czasie „Polityka” zamieściła referat (oby jak najwięcej było tak napisanych referatów!) Janusza Krasińskiego na temat sytuacji polskiego dramatu. Krasiński pisze o rozdźwięku między repertuarem co znakomitszych teatrów a naszą polską rzeczywistością. „Skąd bierze źródło — zapytuje autor — ta niechęć teatrów do próby podjęcia tematów, z lekka choćby zatrających o problematykę współczesną?”. Dyrektorzy odpowiadają: nie ma współczesnych wartościowych sztuk. Zdaniem Krasińskiego szczególnie staramy się obniżyć wartość tego, co posiadamy. „Kierownicy i dyrektorzy teatrów szczerzą się nieraz tym, iż nie czytują polskich sztuk w jedynym właściwie czasopiśmie poświęconym problemom dramaturgii „Dialogu”, a o serii wyborów dramatów wychodzącej od wielu lat w Państwowym Instytucie Wydawniczym wielu z nich nawet nigdy nie słyszało...”.

Ciekawy jestem, czy dyrektor Zbigniew Sztelmański z naszego teatru czytuje „Dialog”? Zapytam go o to przy okazji, bo mieszka po sąsiedzku. Jak dotąd wymieniamy raczej uwagi na temat sprawności naszych małych teatrów. W dniach jubileuszu fiata dyrektora stoł stał przed blokiem. Nawet domyślałam się, dlaczego!

Marek A. Jaworski

## SZPALTA O SPORCIE

TA ostatnia niedziela... Bardzo się ten tytuł („Przegląd Sportowy”) podobał Janowi Ciszewskiemu, czemu dał wyraz w TV. A więc wiemy już, kto został mistrzem jesiennym i ligi: bytomskie Szombierki, które nakopały Legii aż pięć goli, a same nie straciły ani jednej bramki. Ponieważ Arka wygrała z pretendującym do pierwszego miejsca Śląskiem Wrocław (1:0), ten ostatni nie jest liderem, ale tylko vice. Kolejne miejsca w tabeli ze stratą do Szombierki po cztery punkty zajmują: Wisła, Arka, Górnik i Legia.

Jak wynika z pierwszych doniesień, a piszę te słowa w niedzielę wieczorem, nasze zespoły grały z większym nerwem, a mecz Szombierki z Legią podobał się szczególnie.

W II lidze już wszystko wyjaśniło się przed tygodniem. W pierwszej grupie przewodzi Bałtyk, który zdobył 20 punktów, ale tyle samo ma Stal Stocznia. Kiedyś ostro rywalizowała Pogoń z Lechią, teraz Bałtyk ze Stalą. Ale w pierwszej grupie wszystko jeszcze może się zdarzyć: Zagłębie, Olimpia, Piast i Górnik mają po 19 punktów, a Piast i Górnik po 18. Dwa, trzy mecze i przetasowania gotowe. Jaśniejsza jest sytuacja w II grupie. Motor zdobył 26 punktów (proszę zwrócić uwagę: o sześć więcej niż Bałtyk i Stal Stocznia), a druga w tabeli — Gwardia zaledwie 21. Stal Stalowa Wola, Broń i Resovia ustępują Gwardii o punkty cztery.

W swoim czasie zamieścił mi w „Kamieniu” rozmowę z trenerem Motora Bronisławem Waligórą, i trafiliśmy w dziesiątkę. Teraz w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego” Waligóra powiedział:

„Udało nam się osiągnąć bardzo ważną sprawę — nie było wahań formy. Żałuję, że już się skończyła runda Drużyna mogłaby z powodzeniem rozegrać jeszcze kilka spotkań. Piłkarze zaskoczyli mnie mile pełnym zaangażowaniem, maksymalną wolą walki. Rzeczywiście przed każdym spotkaniem chcieli i potrafili właściwie się skoncentrować. W zespole panowała znakomita atmosfera zdrowej rywalizacji. W piętnastu meczach wystąpiło osiemnastu zawodników, wszyscy z jednakową pasją walczyli o wspólny cel.”

„Realnie oceniając — mówi dalej Waligóra — o awansie rozstrzygnie rywalizacja z Gwardią. Mimo że mamy pięć punktów przewagi nadal uważam, iż sprawa, kto wiosną zostanie nowym I-ligowcem, nie jest zdecydowana. Przecież do końca jeszcze piętnaście bardzo trudnych spotkań. Pozostałych rywali nazwałbym drużynami własnego bolska. U siebie grają bardzo odważnie, na wyjeździe na ogół asykurancko.”

Zdaniem Waligóry, i trzeba się z tym zgodzić, druga grupa wydaje się silniejsza niż pierwsza.

A więc wszystko rozstrzygnie się na wiosnę, a właściwie na początku lata. Zyczymy Motorowi, by wreszcie pokazał, że Lublin stać na pierwszą ligę. Zyczymy — to znaczy ja i moi redakcyjni koledzy. Sądzę jednak, że w tym wypadku możemy zabierać głos w imieniu wszystkich kibiców piłkarstwa w naszym regionie.

„Przegląd Sportowy” urządza coroczny plebiscyt na najlepszych sportowców roku. Poszczególne redakcje podają swoich kandydatów. Do nas „Przegląd” się nie zwracał, przeżyjemy, ale też mamy kandydatów. Oto oni:

1. Jan Jankiewicz
2. Janusz Pecjat
3. Marek Seweryn
4. Marian Wronin
5. Andrzej Supron
6. Henryk Srednicki
7. Zenon Plech
8. Waldemar Marzalek
9. Józef Luszczyk
10. Wojciech Fibak

Mamy też kandydata na najlepszego trenera. Jest nim, wiadomo, Bronisław Waligóra. Jednocześnie prosimy go o skontaktowanie się z naszą redakcją. Coś mamy dla niego!

GOL

## Twórcy ludowi na zjeździe w Lublinie

W dniach 12 i 13 grudnia 1979 roku w Lubelskim Domu Kultury (Pstrowskiego 12) odbędzie się V Krajowy Zjazd Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Pismo nasze serdecznie wita tę inicjatywę, jak i w ogóle wszelkie przejawy twórczości ludowej na terenie Lubelszczyzny i całego kraju. Wielu autorów ze wsi niejednokrotnie na łamach „Kamenu” zamieszczało swoje utwory. W najbliższym czasie przewidujemy wydanie kolumn „Ziemia i Pieśń”. Ze względów organizacyjnych prosimy jednak w przyszłości nadsyłać utwory bezpośrednio pod adresem redakcji zaznaczając na kopercie „Ziemia i Pieśń”.

Zespołowi i Dyrekcji Państwowej Filharmonii Lubelskiej im. Henryka Wieniawskiego z okazji 35-lecia istnienia i rzetelnej, twórczej pracy dla dobra kultury muzycznej składamy serdeczne gratulacje, życząc zarazem konfirmowania tej mądrej, społecznie pożytecznej i atrakcyjnej działalności, która określała dotychczasowy profil instytucji.

Kolegium i zespół redakcyjny „Kamenu”

Rozmowę z dyrektorem Filharmonii Lubelskiej, Adamem Natankiem, zamieścimy w świątecznym numerze pisma.



**T.J.:** — Nie wszyscy wiedzą, co to takiego...

**E.L.:** — Melamina jest proszkiem potrzebnym do powstawania wyrobów z tworzyw sztucznych. Została w ubiegłym roku zbudowana przez Austriaków nowa instalacja, jak to się powiada: pod klucz. Melamina jest produktem przyszłościowym w naszym eksporcie. Kraj zużyje jej rocznie około ośmiu tysięcy ton, a my już w roku przyszłym wytwarzać jej będziemy 25, nawet 26, a docelowo dojdziemy do 29 tysięcy ton. Możemy więc eksportować ponad 16 tysięcy ton. Jest to bardzo drogi produkt, bardzo drogi.

Realizujemy zagraniczną sprzedaż w dosyć specyficznych warunkach, ponieważ wszystkie nasze produkty są bilansowane centralnie. W pierwszej kolejności, jak tu już wspominał dyrektor Mazurek, muszą być zaspokojone potrzeby polskiego rolnictwa, które krzyczy o dobre nawozy, a dopiero reszta kierowana jest na eksport. W kontekście problemów żywnościowych nawozy są jedną z podstawowych nadziei wyjścia z impasu; chodzi przecież o to, aby można zaniechać importu zbóż. Stąd też już od pięciu lat wywóz ich maleje. Kiedyś osiągnęliśmy niebywale rozmiary eksportu, ale na to

zakontraktowano i prawie już zrealizowano dodatkową produkcję za 54 392 000 złotych dewizowych. Okazało się, że rezerwy jednak istnieją, że bodźce materialne są dobrym środkiem do celu, że obok tych moralnych mogą skutkować.

**E.L.:** — Byli w swoim czasie nagrody eksportowe — nie było problemów, każda ilość została zapakowana i wysłana. Tych nagród w latach 1973—75 było nawet za dużo. Mieliśmy kłopoty z ich rozdzielaniem. Teraz faktycznie takiego funduszu nie ma, dyrektor Mazurek ma słuszość. Nagradzanie za dobry eksport jest możliwe poprzez wykorzystanie funduszu zachęty. Brakowało w tym roku krajowi dwutlenku węgla, chodziło głównie o zasilenie przemysłu spożywczego oraz spawalnictwa. Ministerstwo podjęło więc decyzję: pozwoliło wypłacać za każdą tonę 150 złotych nagrody. Produkcja dwutlenku i wysyłka wzrosły przy tej samej liczbie ludzi, przy tym samym sprężeniu i wagonach-cysternach prawie o połowę. Widać z tego, że w sferze produkcji, także tej eksportowej, istnieją jeszcze spore możliwości.

**A.L.:** — Odczuwamy to podobnie także w naszych zakładach.

**J.M.:** — Niedawno odbyło się spotkanie I sekretarza KC Edwarda Gierka z organizatorami naszego handlu zagranicznego i wiele spraw, o których dzisiaj mowa, było przedmiotem

placa. Po to, aby móc importować, trzeba najpierw eksportować. To prawo respektują najbogatsze kraje na świecie.

**T.J.:** — W Wytycznych stwierdza się, że „wartość obrotów polskiego handlu zagranicznego w dziesięciolecie wzrosła blisko czterokrotnie.” Kierunek jest więc słuszny.

**A.L.:** — Mieliśmy kupować na Zachodzie niektóre materiały, potrzebne w śmigłowcach, ale po przeprowadzeniu prób z naszymi, krajowymi, uznaliśmy, że są one równie dobre. Udało się nam uzyskać zgodę odbiorców, organu nadzorczego amerykańskiego lotnictwa cywilnego. Z tego przedsięwzięcia wynika spora oszczędność dewiz.

**E.L.:** — Nie zawsze tak szczęśliwie się składa. Potrzeba nam teraz 1 400 000 złotych dewizowych na zakupienie różnych drobnych części i urządzeń. Mimo przyjęcia kierunku zjazdowych Wytycznych: maksymalizacji eksportu i minimalizacji importu w najbliższych latach — taka kwota jest konieczna. Od dziesięciu lat np. w naszej wytwórni worków polietylenowych pracują te same urządzenia. Mają prawo się wytrzeć, szczeliny, przez które dmuchany jest polietylen, zwięzić się. Ta kwota służyć będzie odtworzeniu tych urządzeń. Zepsucie się wytwórni worków mogłoby zagrozić produkcji nawozów dla naszego rolnictwa oraz pra-



Andrzej Izdebski

## NASZ EKSPORT

pozwalają warunki; wielu rolników trzeba było namawiać, aby wysiewali nawozy. W 1974 r. uzyskiwaliśmy za ich eksport ponad 600 milionów złotych dewizowych, a dzisiaj zaledwie 100 milionów.

**Andrzej Izdebski:** — Nasze zadania także zostaną znacznie przekroczone. Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego miała wyeksportować śmigłowców do krajów kapitalistycznych za 24 miliony złotych dewizowych. Sprzedaliśmy za 31,5 miliona, a dojdziemy, to już wiemy, do 35 milionów złotych dewizowych. Dla pierwszego obszaru płatniczego plan wynosił 270 milionów i będzie zrealizowany. Globalny eksport osiągnie prawie 330,7 mln zł dewizowych, co oznacza wzrost w stosunku do ub. roku o około 50 milionów złotych dewizowych. Taka jest skala przyrostu produkcji o wysokich walorach technicznych.

**J.M.:** — Warto podkreślić, że obecnie we wszystkich zakładach naszego regionu nikogo nie trzeba do produkcji eksportowej namawiać. Sprawa jest już ugruntowana, znana i każdy rozumie potrzeby kraju w tej dziedzinie.

**T.J.:** — Czy nie jest to aby pogląd zbyt optymistyczny? Mieliśmy przecież okresy, kiedy trzeba było namawiać, a nawet nakazywać udział w handlu zagranicznym. Byłby to więc przełom. Czy łączy się on z bodźcami materialnymi?

**J.M.:** — Może zacząć od stwierdzenia, że żadne bodźce materialne praktycznie teraz nie istnieją, w każdym razie nie są one takie, aby mogły dynamizować eksport. Oczywiście, działają bodźce moralne, ideowe, polityczne, wynikające ze zrozumienia potrzeb ogólnej sytuacji ekonomicznej kraju. To niemało. Nie funkcjonują dawne postanowienia o odpisach dewizowych. Fabryki mają pewne udogodnienia, np. priorytet w surowcach, w transporcie itp. Wszystko opiera się na zwykłych bodźcach, które obowiązują także przy pobudzeniu wydajności i uzyskiwaniu jakości wytwarzanych towarów dla handlu wewnętrznego. Jedynie minister Handlu Zagranicznego i Gospodarki Morskiej wydał zarządzenie numer 12, według którego można nagradzać kierownictwa i załogi za eksport ponadplanowych towarów do drugiego obszaru płatniczego.

**T.J.:** — I to zarządzenie przyczyniło się do ponadplanowej produkcji, w całym kraju chodzi tu o towary wartości milarda złotych dewizowych. Sprzedanie dodatkowo krajom kapitalistycznym takiej ilości produktów znacznie złagodzi naszą sytuację płatniczą na tamtych rynkach, a nadto da państwu większe możliwości importowe. Również nasz region będzie miał udział we wspomnianym miliardzie, bo

tamtęj rozmowy. Powołano zespół ekspertów, którzy pracują w okresie przedzjazdowym nad problemami systemowymi w handlu zagranicznym. Chodzi o właściwe zarządzanie w tym resorcie, a z drugiej strony o jego powiązanie z przemysłem, no, i przemysłu z handlem zagranicznym, słowem o uproszczenie spraw systemowych.

**T.J.:** — Można się więc spodziewać, że ustalenia tego zespołu wprowadzą także większą elastyczność w zakresie produkcji eksportowej, stworzą warunki usuwające absurdalne sytuacje, nie pozwalające np. fabryce wywożącej za granicę towary wartości pół miliarda złotych dewizowych zakupić potrzebną jej część za sto dolarów, chociaż od tego właśnie zależy produkcja w ogóle.

**E.L.:** — Właśnie, także u nas zdarzały się takie przypadki, wynikające z barier importowych. Czas płata figle. Bardzo tania część, potrzebną natychmiast, kupuje się zbyt długo. Jedną centrala ma prawo sprowadzić pożądaną część zamienną i bawi się z tym nawet rok i dłużej, inna zaś centrala handlu zagranicznego jest zobowiązana do zbilansowania amoniaku czy kaprolaktamu. W wielu wypadkach opłaciliby się po prostu polecieć naszemu przedstawicielowi do danego kraju, zakupić i przywieźć w teczce potrzebną część, by przerwa w produkcji była krótka, nie rozkręcać tę maszynę importową z ofertami itp. Chyba że centrale importujące zmieniłyby swój styl pracy. Słuszość tego, co mówię, potwierdza pewne zdanie. Do badania jakości nawozów potrzebne były nowe zachodnoniemieckie sita, bo stare się zepsuły. Bez nich nie można było być pewnym jakości towaru. Normalna droga ich pozyskania przy sprzyjających okolicznościach — to pół roku. Wówczas centrala handlu zagranicznego, która eksportowała nasz produkt, poleciła swojemu przedstawicielowi zakupić te sita za 300 dolarów i samemu przywieźć. Od awarii do naprawy minęło pięć dni, a myśmy mogli spełnić wymogi odbiorcy. O to właśnie chodzi w takich wypadkach, o szybkość. Trzeba znaleźć bardziej elastyczne i skuteczne rozwiązania.

**A.L.:** — Bywa u nas import kooperacyjny. Zdarza się, że klient sobie życzy, żeby w helikopterach budowanych dla niego zamontować nie nasze wyposażenie radiowo-nawigacyjne, bo on ma swojego konkretnego producenta. A my mamy kłopoty ze sprowadzeniem ich nie z powodu braku dewiz — skoro po dwóch lub czterech tygodniach się zwracają, ale czasu.

**J.M.:** — Jednak sytuacja nasza jest taka, że rzeczywiście należy dewizy wydawać rozsądnie. Rachunek ekonomiczny powinien decydować, trzeba wyliczyć, co i w jakim stopniu się o-

widlowemu ich eksportowi, a także melaminy. Czasami dobre opakowanie, wytrzymałe na transport i zmiany atmosferyczne jest podstawowym wymogiem kontraktowym. Zakład jest, ale chce być jeszcze lepiej przygotowany do zwiększonego eksportu nawozów w momentach koniunktury na interesujących nas rynkach. Nie wszystkie rodzaje nawozów wytwarza się w Polsce. Import niektórych spośród nich może być zrównoważony wywozem naszych produktów. Koniunkturalny eksport może mieć w przyszłości miejsce, ale nas nie zaskoczy, jesteśmy na takie okresy przygotowani. Mamy znacznie przekroczone roczne zadania eksportowe. Powinniśmy w tym roku sprzedać produkty za 72 miliony zł. dew., a tymczasem do samych krajów kapitalistycznych wystaliśmy ich już za 102,5 miliona, a do krajów socjalistycznych za cztery i pół miliona. Warto jednak zaznaczyć, że uczestników eksportu jest więcej niż z tego sobie zdajemy sprawę. Np. bez ścisłej współpracy z koleją nie byłoby w ogóle możliwości wywiezienia naszych towarów. Chodzi tu o rytmiczność równomiernego dowozu na statki: zdobyte przez nas dewizy nie mogą być pomniejszone z powodu ich długiego postoju. Że w zasadzie jest dobrze, zasługa to transportu.

**A.L.:** — Transport śmigłowców dopasowujemy do danego obszaru geograficznego. Jedynie do dalszych republik ZSRR wysyłamy je koleją. Była tu mowa o sytuacjach koniunkturalnych, zdarza się to i u nas. Nie tylko w eksporcie helikopterów, ale i w świadczeniu usług agrotechnicznych z waluty wymieniałnej. Czas liczy się wtedy najbardziej. Gdy np. pojawiają się gdzieś szkodniki, które trzeba chemicznie zwalczać i to na dużym obszarze równocześnie. Nasze śmigłowce w Egipcie, Sudanie i Nigerii okazały się niezawodne.

**J.M.:** — Także spółdzielczość wzbogaca eksport swoją pracą, poprzez tzw. przerób uszlachetniający. Polega to na tym, że kontrahent zagraniczny daje swoją technologię, surowiec i składa ofertę, a u nas wytwarza się określony towar. W regionie środkowo-wschodnim już kilka spółdzielni podjęło tego rodzaju usługę eksportową. To leży w ich możliwościach, a przysparza dewiz.

**E.L.:** — Chcę dopowiedzieć, że nie tylko pragniemy uszczelnić wspomniane prawie półtora miliona złotych dewizowych na konieczne wymiany części z importu, ale pomyśleliśmy równocześnie o innych możliwościach. W najbliższych sześciu latach oszczędzimy wiele milionów: chcemy



Edward Lizak



Jan Mazurek

Fot. Waldemar Stepień



# NASZ EKSPORT

Dokończenie ze str. 3

zastąpić polskimi wyrobami niektóre części i katalizatory dotychczas sprowadzane za dewizy. Będzie to możliwe dzięki patentom i wnioskowi racjonalizatorskim oraz opracowaniom Zakładu Doświadczalnego naszego Instytutu Nawozów Sztucznych. Już w roku przyszłym oszczędzamy w ten sposób 14 milionów złotych obiegowych i milion dewizowych. Co roku te ostatnie złotówki będą wzrastać aż do oszczędności 2 205 000 złotych dewizowych w ostatnim roku przyszłej pięcioletki.

**J.M.:** — Każda złotówka dewizowa liczy się dla kraju. Mogą je dać nie tylko wielkie zakłady, ale i te małe, głównie spółdzielcze. W regionie mamy 91 eksporterów, są to najczęściej zakłady małe i tam właśnie istnieją jeszcze spore rezerwy. Mamy nadwyżki w przemyśle rolno-spożywczym, głównie w owocach i warzywach. Bez straty dla rynku wewnętrznego możemy je sprzedawać za granicą, np. do ZSRR i to za dobre ceny.

**T.J.:** — Myśli pan o wymianie przygranicznej?

**J.M.:** — Wymiana przygraniczna z ZSRR, NRD i Czechosłowacją, a także po części z Węgrami, jest korzystna. Za nadwyżki otrzymujemy poszukiwane na naszym rynku towary z tamtych obszarów. Są to transakcje atrakcyjne i cenione, ale nie wliczamy ich do eksportu.

**T.J.:** — Odnotowano niedawno w „Polityce”, że na Zamojszczyźnie marnują się sówki, nie znajdując odbiorców. Równocześnie przed świętami co roku spotykamy suszone, importowane z Jugosławii. Jest to oczywista anomalia.

**J.M.:** — Może nasze słońce jest bliździe? W przemyśle rolno-spożywczym będziemy jeszcze dość długo nadrabiać opóźnienia, jakie wystąpiły.

**T.J.:** — Inwestuje się niemało, czy powstające zakłady stwarzają nadzieję na zwiększenie eksportu?

**J.M.:** — Odpowiedź daje na to choćby zakład „Hortexu” w Rykach. Szybko się spleca, a eksport rozwija bardzo dynamicznie w obu obszarach płatniczych. Istnieją też jeszcze rezerwy w zakładach w Milejowie i Chelmie. Istnieją one u tych, którzy niedawno rozpoczęli produkcję eksportową i, oczywiście, także u tych, którzy tej działalności dotychczas nie prowadzą. Wiele mamy takich produktów, które moglibyśmy zaoferować kupcom zagranicznym, trzeba jednak przede wszystkim zaspościć potrzeby naszego społeczeństwa, a dopiero wtedy myśleć o wywozie. W sumie towary rolno-spożywcze liczą w handlu zagranicznym naszego regionu niewiele ponad 30 procent; przetwory mięsne stanowią w tym niewielki procent i sprzedawane są wyłącznie za walutę wymienną. Żeby kupić potrzebne nam zboże, które jest uznawane coraz bardziej za towar polityczny, trzeba mieć coś atrakcyjnego do sprzedania. Jeżeli chodzi o wszystkiego rodzaju usługi, to zakupów dokonujemy jak gdyby równocześnie z wymianą: ile sprzedamy własnych wyrobów z tej dziedziny, tyle sprowadzamy obcych. Nie można np. kredytów zużytkować wyłącznie na sokoły. Polityka państwa musi tu być bardzo logiczna i odpowiedzialna.

**A.I.:** — Również u eksporterów „starych” są możliwości, szczególnie gdy swój profil bardziej jeszcze ujednotoczą. Robimy rocznie 100 tysięcy motocykli dla potrzeb krajowych i wciąż są poszukiwane, więc za granicę ich nie sprzedajemy. Równocześnie będziemy mogli zwiększyć produkcję śmigłowców o 20—30 procent, gdy motocykle przejdą Bydgoskiego Zakładu Rowrowe „Romet”. Dla nich to awans, dla nas ulga. Wyłańcając rzecz brutalnie: kilogram motocykla dałby nam w ek-

sporcie kilka dolarów, a śmigłowca przeszło 100. Mamy równocześnie duży eksport kooperacyjny części i zespołów wytwarzanych razem z firmami zagranicznymi. Produkcję zespołów do radzieckiego samolotu IL-86, o którym teraz dużo się mówi, oraz odkuwki, obrabiane zresztą także u nas, dla amerykańskiej firmy Piper. Są to niezwykle korzystne usługi. Liczy się przede wszystkim produkcja lotnicza, głównie dla pierwszego obszaru płatniczego, bo śmigłowce te roduły się na deskach radzieckich i polskich projektantów. W ostatnich latach jednak rozwija się dynamicznie eksport do drugiego obszaru płatniczego, wystarczy powiedzieć, że w tym roku sprzedajemy tam o 80 procent więcej niż w minionym. Wszystko wskazuje na to, że wzrost ten obserwować będziemy także w następnych latach.

**E.L.:** — Nasze nawozy azotowe zdobyły sobie wysoką markę na rynkach światowych, eksportowaliśmy je już do 56 krajów świata. Nie znamy producentów na świecie, którzy by legitymowali się lepszymi od nas, pod względem jakości, produktami. To samo jest z melaminą, tak potrzebną przemysłowi meblarskiemu a także elektrotechnicznemu. Jej eksport traktowany jest jako splata tej udanej inwestycji austriackiemu kontrahentowi. Eksportujemy ją do Związku Radzieckiego, Japonii, Szwajcarii, Francji, USA, RFN, NRD i Jugosławii wyłącznie za waluty wymienne.

**T.J.:** — Poglębila się recesja gospodarcza w zachodnich państwach kapitalistycznych i trzeciego świata. Tam teraz trudniej wejść na rynek z naszymi towarami i na nim się utrzymać. Tamte państwa, aby złagodzić kryzys gospodarczy i zmniejszyć bezrobocie, prowadzą zdecydowaną politykę protekcyjną.

**J.M.:** — Oczywiście, to znana sprawa, nie ma sensu na ten temat szerzej mówić. Wiadomo, że w sytuacji kryzysowej tamci chcą sprzedawać, a nie kupować. Doświadczyli tego Zamojskie Fabryki Mebli. Sporo dobrych mebli sprzedawały małym firmom szwedzkim. Mimo że były one naprawdę wysokiej jakości, wróciły. Protekcyjno-nietyczne działania państw zachodnich stwarzają takie bariery, że są one prawie niemożliwe do przebycia. A nie mamy przecież zamiaru sprzedawać naszych towarów za bezcen, bądź płacić określoną haracz za łaskawie nabycie. To musi się opłacać. W każdym razie nasz przemysł i handel zagraniczny muszą złączyć siły i w pełni sprawę z tego i tak organizować produkcję eksportową, aby jednak łamać nawet te wygórowane bariery.

**T.J.:** — Czy rozwijanie wytwórczości eksportowej podnosi kunszt załóg?

**E.L.:** — Trudno odpowiedzieć konkretnie. Załoga doskonali się w drodze powolnej ewolucji, u nas, w chemii, jest to trudno wymierzalne.

**A.I.:** — Już potrzeba dostosowania do wymogów różnych rynków i warunków klimatycznych powoduje podnoszenie kwalifikacji załóg i ogólny wzrost jakości produkcji. O innych różnicach trudno u nas mówić, przecież jakość musi być zawsze wysoka, chodzi przecież o życie pilotów i tych nad którymi oni latają.

**J.M.:** — Jestem zdania, że załoga, która eksportuje, rzeczywiście doskonali swoją pracę, dale także lepsze towary, na rynek krajowy.

**T.J.:** — Byłby to idealny, rzeczywiste towary dla siebie nie powinny być gorsze od sprzedawanych obcym. Zresztą materiały przedziałowe także zainicjują dalszą walkę o wysoką jakość.

**J.M.:** — We wszystkich czterech województwach pracują sztaby fachowców, które zajmują się planowaniem i pobudzeniem produkcji eksportowej. Zabiega te sprawnie, że chyba dynamiką wytwórczości eksportowej w naszym regionie powiększy się wyraźnie. Gdy sprawdzają się badające systemowe zaangażowanie za dobra produkcje i za planowe wykorzystanie załóg, wtedy na pewno przyniesie ona dynamiczną, skuteczną średniej krajowej, zostanie osiągnięta.

## ● POLEMIKI ●

# Wrócić czy nie wrócić?

Romuald Mikoszewski

**B**YL w Białej Podlaskiej człowiek trzy lata temu i był niedawno. Był pewnie służbowo dla napisania czegoś o mieście. I napisał. Dwa razy. Pierwszej relacji Macieja Podgórskiego nie czytałem, drugą („Wrócić do Białej”, „Kamena” nr 18) owszem. Jakoś mi to nie trafiło do przekonania jako całość, a wyraźnie już chybiło we fragmentach poświęconych zabytkom.

Autor pisze o mieście: „Mówiło się z początku, że tylko jego układ urbanistyczny jest zabytkowy, zaś substancja budowlana zasadniczo niezabytkowa. Upłynął jeden, drugi rok, zmienili się odpowiedni ministrowie i okazało się, że niemal wszystkie starówki polskie w całości zabytkowe, więc pod ochroną konserwatorską i z przeznaczeniem pod rewaloryzację. [...] Teraz weźmy choćby taką kamienicę przy ulicy Prostej 20 [...] Trzeba remontować kosztem 3 milionów złotych (za co można zbudować blok z dwudziestoma mieszkaniami)!”

Artykuł sugeruje, że starówka białska uznana została za zabytkową nie dzięki istotnym wartościom, ale przez kaprys „odpowiednich ministrów”. Zmienili się więc odpowiedni na nieodpowiednich i ci tak kapryszą, że niemal wszystkie starówki polskie uznali za zabytkowe.

Trzeba chyba przemysleć na nowo kilka spraw. Jedną z nich to ustawowe pojęcie zabytku. Odnowienia ustawa chce, żeby „zabytek” i „dobro kultury” były pojęciami zamiennymi. I nie jest to tylko zabawa w pojęcia. Bo „zabytek” w polocznym użyciu zdevaluował się i znaczy głównie „starość”, a „dobro kultury” nie. Wymieniając przedmioty zabytkowe ustawa mówi o budownictwie, architekturze, urbanistyce, obiektach etnograficznych, pamiątkach historycznych, obiektach techniki i kultury materialnej.

To ustawa, czyli taka jednak trochę teoria. Tymczasem w artykule wkroczyły praktyka i tradycja. Chyba kościelno-feudalna, według której dobro kultury nie może być wytworem prostego ludu: prostackiego, trywialnego, wulgarnego. Według niej dobro kultury zaczyna się i kończy w kościele i pałacu. Takie podejście jest dość powszechne we współczesnej praktyce polskiej. Kto mi nie wierzy, niech przejrzy przewodniki turystyczno-krajoznawcze. Prozę poszukuje tam obiektów ludowych czy proletariackich. Czasem trafi się jakiś wiatrak, albo Frasobliw. Ten zwłęk z etykieta — usprawiedliwieniem: „barokowo-ludowy”. Ze wprawdzie ludowy, ale barokowy jednak. Tak samo w po-

ważnym wydawnictwie PAN — „Katalogu zabytków sztuki w Polsce”.

Pisze A. Blachowski w książce „Skarby w skrzyni malowanej, czyli o sztuce ludowej inaczej”: „Kultura ludowa jest zjawiskiem równoległym do kultury elitarnej, a nie podrzędnym. Sztuka ludowa nie jest ani lepsza, ani gorsza od elitarnej — jest tylko inna. Jest natomiast najmniej podobna do kosmopolitycznej plastyki, gdyż zawiera najwięcej pierwiastków narodowych”. I tak wygląda starówka w Białej. Tymczasem w artykule Podgórskiego mowa jest o niej jako „podobno zabytkowej” z wyczuwalnym przekąsem. A już zupełnie chyba: „Od kwestii zabytkowego Rynku w Białej Podlaskiej odszedłem trochę w stronę zabytków prawdziwych”. Które obiekty są „zabytkowe”, a które nie, już wiadomo. Biała ma taki pałac Radziwiłłów z parkiem, parę kościołów i dość. Co do nich nie ma wątpliwości, bo elitarne i sakralne, uświęcone tradycją sięgają w... średniowiecze.

Przepraszam za jeszcze jeden cytat. I. Tłoczek w książce „Chałupy polskie” pisze: „W okolicach górskich, na Podlasiu, Kurpiach, Kaszubach i w Wielkopolsce, gdzie technika użycia drewnianego budulca osiągnęła szczególnie wysoki poziom, upodobania ludu wyraziły się w wianach ciesielskich oraz w obróbce i zdobnictwie eksponowanych widokowo elementów konstrukcyjnych ościeżyc i skrzydeł drzwiowych, opasek okiennych itp.” Co to znaczy, że „technika użycia drewnianego budulca osiągnęła szczególnie wysoki poziom”? Znaczący ni mniej ni więcej tylko smak artystyczny, może nawet wyrafinowanie. Czyli arystokrację duchową prostego cieśli. Prostego, nie prostaka. Biała Podlaska, jak nazwa wskazuje, jest na Podlasiu, może więc w tej „zabytkowej” zabudowie ma takie klejnoty? Może są zabytkowe autentycznie i nie trzeba szukać „prawdziwych”? Niech chałupa i pałac liczą się na równi, bez przewagi żadnej strony. Tyle że klasowa polityka władz kulturalnych może trochę uważniej spojrzeć na te wytwory prostego ludu, żeby wskazać w społeczeństwie znaczenie dla własnej przeszłości, może dumy klasowej. Nie o zemście idzie, ale o sprawiedliwość.

Sprawa druga, ściśle związana z pierwszą, to zwiędzenie. Co mianowicie zwiędzać. Przeciwny polski turysta pojedzie na Węgry, do Paryża, Moskwy, nie do Białej. Ulega modzie, zgodnie z którą zwiędzać lepiej znaczy dalej. I egzotycznie i splendor dla zwiędzającego większy, bo gdzie to on nie był! Właśnie nie był, bo tam, gdzie był, wcale nie był, tak samo, jak nie był w swojej Białej. Nie był, bo autentycznie nie przeżył, a tylko snobistycznie zaliczył.

Tak masy nieszczęsnych ślepców przewalają się po Wawelach, Akropolach, Luwrach i zaliczają. Jeżeli zadrzą z emocji, będzie to dreszcz sensacji — oto tu właśnie sławna Mona Lisa. A jak się uśmiecha... Zadanej emocji w Białej, bo na to trzeba więcej, niż znajomość cudzych zbanalizowanych opinii. Akceptować odczucia innych znaczy też zrozumieć ten zagadkowy uśmiech Mony Lisy. To nobilituje. A zachwyty dla białskiego rynku — wprost przeciwnie. Erudycją natomiast błysnie autochton, jeżeli wśród argumentów przeciwko swojszczyźnie zacytuje Podgórskiego.

I jeszcze argumenty tzw zdrowego rozsądku. Koszty, celowość wydatków — oto koronne atuty trzeźwo myślących i poważnie zainteresowanych o szczęście społeczeństwa. Podgórski mówi o 3 milionach, za które można wybudować 20 mieszkań zamiast remontować kamienicę przy Prostej 20. Pewno prawda. Ale co by można zamiast Zamku Królewskiego, albo rewaloryzacji Krakowa, czy Zamościa? Można dostać zawrotu głowy. Jak to porzeźbić! Tylko że przelicza się niewymierne i najwyższe wartości kultury narodowej na drobnoliczniczkę polityki wulgarnego konsumpcji. Pewien osobnik twierdzi: „Odbieracie narodowej pamiątki narodowe, a w drugim pokoleniu przestanie być narodem”. Prawda to cho-



ciaż z podłego źródła, aż przykro powoliwać się na nie. Ale niedawna tradycja przekazała próbę dokumentacji tego stwierdzenia.

Zdrowy rozsądek dyktuje długi szereg argumentów realistom. Tym zapobiegliwym, praktycznym, słowem — mądrzejszym ludziom. Przeciw artystom — niepraktycznym pięknoduchom, a na końcu marnotrawcom. Te 3 miliony wpakują w rudę i różnych innych głupstw narobią. Polecą w kosmos, będą wdrapywać się na jakieś szczyty, grotolazić, malować obrazki i co tam jeszcze. Czasem jednak i oni ratują się zdrowym rozsądkiem. Jak np. wrócić z kosmosu, to w wywiadzie obowiązkowo zaznaczają, nawet podkreślają, że medycyna kosmiczna służy zdrowiu na ziemi, że różne zakładowe eksperymenty przyniosły takie to a takie udogodnienia konsumpcyjne.

Szczególnie niestrawny wydaje się mi następujący fragment artykułu: „31 lipca ubiegłego roku zostało zawarte porozumienie między prokuratorem wojewódzkim a dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Białej Podlaskiej; w dokumencie czytamy m.in. „Nakazem chwili jest jak najszersze udostępnienie dóbr kultury i sztuki społeczeństwu. Równocześnie istnieje bezwzględna konieczność zachowania naszego 1000-letniego, bogatego i niepowtarzalnego w swej treści i formie dorobku dla przyszłych pokoleń.” (Żeby one się z nas nie śmiały i nami nie pogardzały — dopisek MP).”

Dotąd wszystko mi odpowiada. Może dopisek mniej, bo raczej chodzi o uratowanie dóbr, do których nie należy nasza niechęć ośmieszenia się. Dalej niemal pikantaria: „Obie wysoki umawiające się strony podejmują rozmaite zobowiązania, ale w gruncie rzeczy chodzi o jedno — włączenie się prokuratora do pierwszorzędnej wagi interesu ochrony zabytków. Gdy pod zaleceniami pokontrolnymi mówiącymi o konieczności remontu dachu w przeciekającym zabytku widnieje obok podpisu urzędnika Wydziału Kultury również parafka prokuratora, wówczas inaczej rozmawiają ludzie zobowiązani do remontowania owego dachu”

Prokurator nie będzie nawet podpisywał — wystarczy wszechmocna parafka. Bo mało ważne, co napisano — o wartości słowa decyduje podpis, nawet parafka. Założono tu z góry, że administratorzy dóbr kultury to nieodpowiedzialne tenaki. Nie reagują na dziurę w dachu ani zalecenia przełożonego. Dopiero niebezpieczna parafka wstrząśnie ich wątpliwym sumieniem. Znamy tę metodę z innej parafii. Właśnie z parafii bo tu wykombinowano onegdaj sposób na wywołanie religijnej ekstazy — zdrowaśki jako pokutę za grzechy. Grzesznik westchnie do Boga za karę pod przymusem. Proste, łatwe w użyciu i dające biurokracji wzór „na odpajkowanie”.

„Jeden z wysokich urzędników, odpowiedzialnych za estetykę w skali kraju, mówił mi niedawno że zgroza o tym zjawisku i żeby to zahamować — powiedział — trzeba by chyba stworzyć jakąś specjalną policję. Wiadomo jednak, że nie jest to możliwe, za zjawiskiem tym stoi zbyt potężny żywioł społeczny” — pisał A. Osęka w słowie wstępnym do książki A. Mollesa „Kicz czyli sztuka szczęścia”. Wtedy jeszcze kusząca perspektywa została odrzucona, ale po roku... Po roku poszło się o krok dalej — co prokurator to nie policja. Władza, a nie jakiś funkcjonariusz. Tyle że nie wynika to z fragmentarycznie cytowanego przez Podgórskiego dokumentu. Dokument nie zamykał sprawy chytrym wybiegiem z parafką.

Tak odebrałem niektóre partie artykułu o dobrach kultury w Białej Podlaskiej. Cały artykuł zrobił na mnie wrażenie jakiejś mieszanki firmowej. Nie wiem, do czego autor zmierzał. Tu polizal (gastronomia), tam powąchał (wychodki AWF), ówdzie powybrzydzał (starówka), słowem — był wszędzie, na chwilę. Nie wiadomo, czym pasjonuje się, na czym zna, bo chyba nie na wszystkim. Trzej czytelnicy, z którymi przeprowadziłem mini-ankietę, zamierzali słownie wychodki: „a le im dolożli!”

dawno przecież z podobnym problemem spotykały się Puławy, a przeobrażenia kulturalne, dokonywane w nowych województwach, przyniosły wiele podobnie „pionierskich” doświadczeń.

I.

Organizatorzy życia kulturalnego w Zagłębiu stają jednakże wobec całkiem nowych kłopotów. Jeśli bowiem w Puławach (najbliższy to przykład) wszystko, co związane z obecną kulturą i sztuką środowiska robotniczego, powstawało na terenie obfitującym w tradycje artystyczne i kulturotwórcze, to tereny LZW (Łęczna, Puchaczów, Bogdanka) były i są o wiele uboższe, jeśli nie wręcz ubogie w tradycje. Po prostu — ci, którzy przybyli, aby budować Zagłębie, nie otrzymali nic z regionu, na którym osiedli.

Nawet biorąc, przy dużej taryfie ulgowej, że rozrywki związane z gastronomią też wchodzi w zakres życia kulturalnego, to w przypadku Łęcznej mówić można najwyżej o kiepskich knajpach. Kultura, chcąc

osiągnąć górniczym miasto wojewódzkie, choć nieco odległe, długo może stanowić źródło kultury. Nawet jeśli stali mieszkańcy Lublina twierdzą, że trochę tu nudnawo.

Jerzy Kargol, „robiący w kulturze” na terenie LZW, sam przyznaje, że możliwości wykorzystywania ofert lubelskich dla dużej liczby górników stoją pod znakiem zapytania, chociaż dyrektor Kryński z Estrady, zawsze znajdzie bilety dla górników, a dyrektor naczelny Kombinau Stanisław Wolf, zawsze wyszpera autobusy dla chętnych. Trudno sobie wyobrazić, by Zagłębie nie korzystało z tego, co proponuje się w Lublinie, jest to jednak kwestia oferowania kultury, a nie jej współtworzenia.

Lublin może kulturę „dawać”, ale w pewnym momencie zechce i brać. Z drugiej strony górnicy zaczną tęsknić za Warszawą lub za Krakowem, gdy opatry im się nasze miasto. Tak się musi zdarzyć nieuchronnie, jeśli oferta będzie jednostronna. Z czasem przyjdzie moment, że na Demarczyk lublinianie jeździć będą do Łęcznej, a nie odwrotnie, idzie jednak o coś znacznie więcej — o własną, zagłębiowską

## Czekając na „Złoty węgiel”

pisać się chociażby przez jakieś średnie „k”, nie miała tu nic do powiedzenia. Nikt rozsądny nie oczekiwał również, że budujący kopalnie od razu przywiążą do Łęcznej wielką kulturę.

W tej sytuacji najkorzystniejszym zjawiskiem był fakt, że w szybko powstającym nowym osiedlu rodziny budowniczych i górników wprowadziły poziom życia odległy od standardów przeciętnego domu w Łęcznej i okolicach. Stosunkowo dobrze wyposażone sklepy, dobrze umeblowane mieszkania, ładnie i czysto ubrane dzieci, umyte szyby w oknach — ciągle narastanie takich i podobnych zjawisk, jeszcze przecież nie mających wiele wspólnego z kulturą przez duże „K”, stanowiły nowość na tym terenie, głównie na skutek powszechności

Natomiast życie kulturalne nie istniało. Jeśli nawet w Puchaczowie działał dobrze klub „Ruchu”, lub w Łęcznej kilka osób tworzyło artystyczny zespół amatorski, a strażacy prowadzili kino w baraku, to w relacji potrzeby — możliwości było to nic. Mówiąc inaczej: nie istniała w Łęczni żadna oferta kulturalna dla nowo powstającego zagłębia. Jeszcze dziś Gminny Ośrodek Kultury popieszczenie goni rzeczywistość, chce się przedrzeć przez bariery remontów. Bariery tworzone brakiem kadry, inicjatyw, funduszy wreszcie — to zupełnie inny rozdział.

II.

Dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie, mgr Edward Chana, dopatruje się źródeł marazmu kulturalnego osiedli podobnych Łęcznej w bliskim sąsiedztwie dużego miasta. Czynne lub bierne uczestnictwo w życiu wielkiego miasta przedkłada się w podobnym przypadku nad własną aktywność w miejscu zamieszkania. Lublin nazbyt wielki nie jest, ale zjawisko „wiru” kulturalnego, pochłaniającego inicjatywy z obrzeży, daje się i tu widzieć. Wyjątki tylko potwierdzają regułę.

Centrum rozrywkowym, kulturalnym i artystycznym dla Zagłębia Węglowego pozostawał zatem Lublin i pozostaje nim nadal. Rada Zakładowa KBG „Wschód” wysyła regularnie kilka autobusów z mieszkańcami osiedla górniczego do lubelskich placówek: teatru, kin, operetki, do DKF w Lubelskim Domu Kultury, dzieciarnię do Teatru Lalki i Aktora, przy okazji „Prezentacji” jeżdżą ludzie na koncert Ewy Demarczyk, występy kabaretu „Pod budą” czy J. Połomskiego. Jeśli się weźmie, że wyjazdy organizowane są przeciętnie dla 50—100 osób, to przy ponad półtoratysięcznym

możliwość oferowania kultury. W wyobraźni widzi mi się ten nawet nie sięgający setki kilometrów ciąg prądu kulturalnego — Puławy, Lublin, Zagłębie. Z przystankami w Lublinie, rzecz jasna.

III.

Początek inicjatyw kulturalnych w LZW ma swe skromne źródło w przedsięwzięciach na terenie hoteli górniczych. Nieco żywszy strumień popłynął od wygłoszenia przez J. Kargola referatu na temat projektów działalności kulturalnej. Zychliwie, ale na razie z humorem przyjęte zostały plany założenia kabaretu (miały się nazywać „Złoty węgiel”), górniczego zespołu pieśni i tańca albo budowy domu kultury. Humor nie oznaczał wyśmiania. Ambicja zawarta w projektach mogła bawić wczoraj, dziś rozważa się projekty poważnie, jutro (pojutrze) staną się rzeczywistością.

Czteropunktowy plan działalności kulturalnej w Zagłębiu bierze na razie pod uwagę skromniutkie możliwości lokalowe: świetlice w hotelach, sale GOK-u, kawiarnię górniczą, biblioteki hotelowe i tereny na wolnym powietrzu. Owa baza nie pozwala podskoczyć wyżej ponad spotkania z twórcami, wystawy, pokazy filmów, odczyty, wieczorki taneczne itd. Latem na przykład był podest w parku dla artystów, którzy wystąpili w Dniach Łęcznej, ale go rozebrano, więc plan zakłada zbudowanie takiej estrady, której się nie rozbierze na zimę.

Plan przewiduje tworzenie na terenie LZW amatorskiego ruchu artystycznego. I tu ujawnia się najwyraźniej moc inspiracyjna górników wobec terenów, na które przyszli, gdyż byłby to zespół Ziemi Łęczyńsko-Włodawskiej. Ten skromny podpunkt planu zdradza rzecz naprawdę ważną — cokolwiek stworzy się w dziedzinie kultury i sztuki na terenie Zagłębia, to będzie zysk dla regionu. Obecnie nie widać jeszcze jedności (zaraz za GOK-iem w Łęcznej biegnie niewidoczna granica między miastem a osiedlem górniczym), ale w przyszłości wszystko, co górnicze, nie będzie niczyje inne niż regionalne. Może wielu ludziom trudno to sobie wyobrazić obecnie, ale taka jest prawda.

Czwarty punkt planu dotyczy zamierzeń inwestycyjnych. Pierwsze: Klub Górniczy — ma powstać w rynku w Łęcznej. Oto próba zerwania niewidocznych granic. Drugie: budowa domu kultury w mieście — inwestycja nie tylko na obecne potrzeby, ale także na przyszłość. Rozmawiałem o tej budowie z Jerzym Kargolem, ale do prawdy nie mam śmiałości, by już teraz opisywać rozmach projektu. Będzie to dla zagłębiowskiej kultury rzecz równie duża, co dla gospodarki pierwsze wagony węgla.

IV.

Na razie najważniejsze są saksofony. Powstająca już w Zagłębiu prawdziwa orkiestra górnicza, skupująca zaskąd instrumenty, nie ma nadal saksofonów. W kraju się ich nie produkuje. Minister Kultury i Sztuki podpisał już właściwe decyzje, ale same podpisy koncertu nie robią. Orkiestra będzie jednak pierwszym kwiatkiem do bukietu. Może nie zagra jeszcze na tę Barbórkę, ale ponoć już niedługo.

Tak, jak trudno sobie wyobrazić górników bez orkiestry, tak samo nie sposób pomyśleć, że nie będzie górniczego klubu piłkarskiego. GKS Łęczna już gra. Nawet wygrywa i ma wiernych kibiców. Stadion odkupiono od miejscowego GS-u. Być może, jest to wśród piłkarskich klubów zakładowych rodzynek, gdyż rzeczywiście amatorski (ciekawo, co o tym amatorstwie mówią będą działacze GKS Łęczna w sentymentalnym roku dwutyśnicznym?).

Bieżący rok przyniósł górnikom własną trasę zjazdową dla narciarzy z najprawdziwszym wyciągiem, znacznie lepszym od reklamowanego do nośności wyciągu na Globusie w Lublinie. Górnicy umieją i chcą jeździć na nartach, toteż na Roztoczu wykupili odpowiednią górkę i dolinę, zbudowali tam domek noclegowy i tak oto zaczyna się w Zagłębiu sport.

V.

Obecna kultura zagłębiowska, przy której tworzeniu wcale nie musi zakasywać rękawów kilka zajmujących się nią osób, w przyszłości stworzy skomplikowany system ogromnej liczby przedsięwzięć. Adresatami jej efektów ma być przede wszystkim 180 tysięcy mieszkańców Zagłębia. Twórcy ten jest nie do ogarnięcia dziś, skoro sięgnie od dzieci w kółkach zainteresowań do nagród festiwalowych różnych zespołów, od bramek GKS Łęczna po nowe powieści górników-pisarzy.

Już niedługo górnicy rozejrzą się za wielką księgarnią w pobliżu osiedla, zapytają o porządne kino, o park wypoczynkowy. Niewiele czasu upłynie, a górnicy, lub ich dorastające dzieci, utworzy zechcą Koło Młodych oddziału ZLP. Zaczną się rozważania o własnym festiwalu, lub co najmniej corocznym przeglądzie kulturalnym, o międzyregionalnej wymianie doświadczeń i dokonań.

Jedno jest niewątpliwe: nasze Zagłębie będzie zupełnie inne od Zagłębia Śląskiego, bo wyrosnie na innej glebie. Będzie to kulturalnie lubelskie zagłębie, a nie tylko geograficznie. Stan górniczy ma, oczywiście, swoje stare tradycje i obyczaje (Barbórka, Karczma Piwna itd.), ale w LZW stworzą się też nowe formy kulturalne, artystyczne, obyczajowe. Chłopskie pochodzenie lubelskich górników musi przynieść nowe jakości kulturotwórcze. Trudno powiedzieć czy zderzą się one z kulturą robotniczą, czy przenikną nawzajem, będzie zapewne i tak i tak. Wiele z nurtów tej powstającej obecnie kultury wytworzy własne — będzie się mówiło: górnicze — elementy. Ale też nurty owe muszą chłonąć z zewnątrz. Nie można przecież wyobrazić sobie, że w Zagłębiu odrzuci się propozycje artystów, chcących tam przyjść i tworzyć — jednym z ciekawszych zjawisk będzie powstawanie elity artystycznej Zagłębia.

Już teraz jest pora o tym myśleć, chociażby z pozycji Rady Zakładowej Kombinau. Jedną z najciekawszych propozycji, jakie usłyszałem od Jerzego Kargola, był ów jakby na wyrost projektowany kabaret „Złoty węgiel”. I to jest to. Zanim, rzecz jasna, przyjdzie pora na własnych piosenkarzy, muzyków, malarzy, pisarzy, na własny teatr albo... studio telewizyjne.

Bronisław Kowalski



# DROGOWSKAZA

Do szeregu osobistości ze świata kultury, nauki i sztuki zwróciliśmy się z prośbą o wypowiedź na temat zasad, którymi kierują się w życiu, pracy twórczej i działalności społecznej. Zależy nam na uzyskaniu czegoś w rodzaju auto-komentarza ludzi, którzy dali się poznać od strony swoich osiągnięć, przy czym nie chodzi nam o otrzymanie „przepisu na sukces”, lecz orientacji ustalającej kierunek życiowych zamierzeń. Prosiłiśmy o krótkie wypowiedzi, by tym wyraźniej wyszła na jaw generalna linia postępowania.

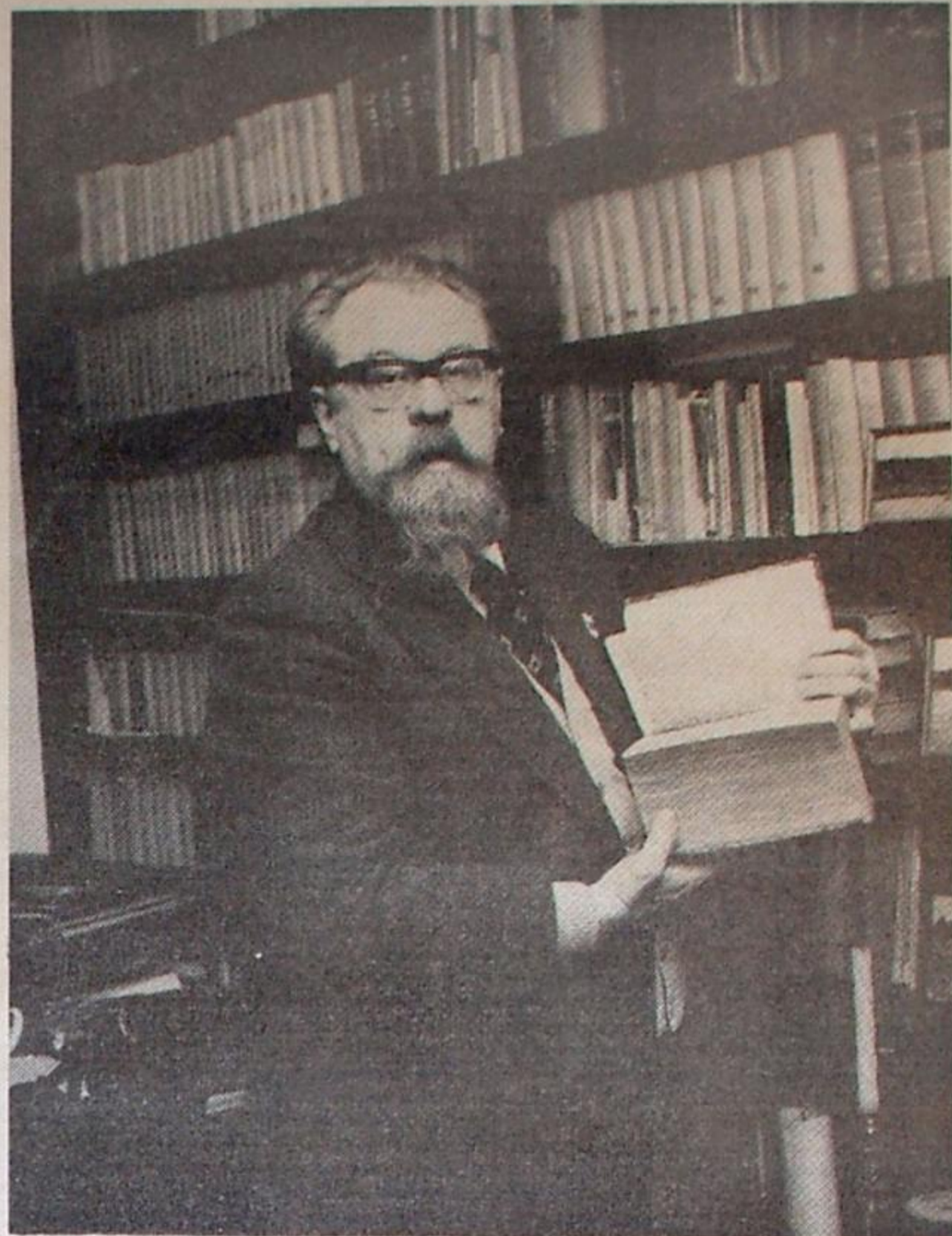
W naszej ankiecie zechcieli wziąć udział: wybitny historyk filozofii i estetyki, profesor doktor Władysław Tatarkiewicz, dyrektor Muzeum Narodowego profesor doktor Stanisław Lorentz, obecnie zamieszczamy wypowiedź Szymona Kobylińskiego.

## Szymon Kobyliński

**I**LEKROC słyszę bzdurę zawartą w zdaniu „stare normy etyczne się przeżyły”, tylekroć ogarnia mnie zgroza, że tym oto zdaniem doszedł do głosu typ ludzi, którzy się zawsze samo zwalniali z uznawania norm, ale dawniej nie mieli dosyć bezczelności, by rzecz jawnie — i jako rzekomy fakt — proklamować. Sam kieruję się światopoglądem racjonalistycznym, lecz i z tego punktu mogę pytać: „A cóż się to niby przeżyło? Który mianowicie składnik Dekalogu (wynikłego z jeszcze dawniejszych formuł moralnych)?” — Przykazania na pozór ściśle religijne trwają przecież u nas jako świeckie, w tym sensie, że „nie będziesz miał innych bogów” oznacza prostą lojalność wobec raz przyjętej doktryny, nie używanie imienia bożego nadaremno to wstręt do pustych sloganowych deklaracji, a „święcenie dnia świętego” równa się konstytucyjnemu prawu do wypoczynku. Reszta zaś obowiązuje jak najdosłowniej i tkwi w czynnych kodeksach, gdyż ciągle jest zbrodnią morderstwo, przestępstwem kradzież i fałszywe świadectwo, rzeczą naganną zdrada małżeńska, pożądanie cudzej partnerki i cudzych dóbr, no a cześć dla ojca i matki codziennie nam zaleca program TV „W kręgu rodziny”. Więc cóż miałoby ulec zmianie? Chyba jedynie sytuacja, w jakiej obok osób wyznających któryś kult, czyli przekonanych, iż ich po śmierci zewnętrzna siła nadprzyrodzona rozliczy z rejestru grzechów i cnót — gęściej mnożą się ludzie sądzący, że w braku nadrzędnego ducha winni samodzielnie, dzięki wewnętrznej dyscyplinie, już za życia przeprowadzić bilans swojej prawości wobec społeczeństwa i własnego sumienia.

Nie zawsze wychodzi to w praktyce najlepiej, ale bo też Wielką Brytanię trapią liczne wypadki drogowe, chociaż kierowców uczy się tam — idealnej także we wszystkich stosunkach międzyludzkich — reguły: „Myśl tylko o innych, o tobie pomyśl oni!”. Co do mnie, usiłuję się tej regule podporządkować, właśnie jako należący do drugiej z wymienionych grup światopoglądowych, a czy to się udaje, niech już osądza moje otoczenie.

\*) Muzalizm, chrześcijaństwo, slam



Fot. CAF

**W** SWOIM patrzeniu na sprawy poezji pomijam fakty jednostkowe, dlatego nie mówiłbym o przyznaniu nagrody „Poezji” za rok 1978 Stanisławowi Swen-Czachorowskiemu, gdyby nie sam Stanisław Swen-Czachorowski. Autonomiczny, zasłużony, konsekwentny, a więc godzien wyróżnienia krzewiciel belkotu w aktualnym wierszopisarstwie polskim. Lepszy nawet od Białozzewskiego.

Dlaczego lepszy? Bo obrazki Białozzewskiego jeśli są nie do odczytania, to przynajmniej do patrzenia jako na spe ilustrujące nasze codzienne sprawy, a często nie zawierają niczego, co przy obecnej umowie między dostawcą a odbiorcą jest do zniesienia. Natomiast pretensjonalny Czachorowski w pogoni za poklaskiem urzędującego skrobaczkami od znaków zodiaku do gaju hesperyd, od baroku do motetu, od Petrarki do Araratu, french cancana i Via Appia.

Produkuje się zresztą nie tylko na „kulturowej” trampolinie. Często widzieliśmy go równie pracowicie zatrudnionego przy obscenach. Oto fragment wiersza „Homunculus” z tomu „Ani litera ani ja”. Wprawdzie dawniejsza to sprawa, ale ze względu na specyfikę efektów artystycznych przytoczyć warto:

drut ust  
słów upadek  
pierwsze czochrwanie  
w tyłku nocy

A z wiersza „Kijanki zakutanego” (?):

rasputin  
gliniany ząb wyszczerzył  
trząsk  
w mydliny  
rozdziecie stolcowej książki  
po wyjściu nogi  
ze śmietnika

Jak trudno jest być dziś niedorzecznym! Mówię to całkiem poważnie. Wchodzi się w tak ostrą konkurencję, że wyróżnić się na tym tle to nie lada sukces. Czyli nagroda „Poezji” jest w pełni uzasadniona.

Na czole dziesiątego numeru miesięcznika zdjęcie laureata. Nie może

## W KRAJOBRAZIE SŁÓW

### Odwrót od sprawdzalności

Zygmunt Mikulski

być inaczej: na tle maskaroników, śmieciadek, zrynków, całego bibelotstwa współczesnej produkcji rzeźbiarskiej nie wiadomo — szczytującej się sztuką udawania nieporadności, czy nieporadnością rzeczywistą. Nikt nie zauważa jakie to oklepane w swej „oryginalności”. Jakie „europejskie”.

„Zgrzyt korzeni”, „bulwa ciemnic”, „kropka ukojenia”, „lapa kłania sygnet orbity”, „gest w przerysunek związa koło”, „wielokropkami wystuchany obnażam jabłko” — oto ostatnie perelki tej poezji uwidocznione w wymienionym numerze. Tylko, na liłość boską, ostrożnie z zestrzeżeniami. Kto powie, że nie rozumie, ten nie tylko wystawi sobie świadectwo umysłowego ubóstwa, ale zepsuje całą zabawę. Przepuszczamy, że nikt z państwa nie skompromituje się takim brakiem taktu. Dziękujemy.

Oryginalność Czachorowskiego. Przy takiej przenikliwości krytyków żaden z nich nie zauważył jednego z jej najistotniejszych źródeł: mechaniczności. Zwyczajnej dostawianki, dopisywanki, odpisywanki słów. Normalne „ptaki uskrzydłone” przerobić na „odskrzydłone”, zamiast „drepcą ścieżką” powiedzieć „drepcą ścieżkę”, w wyrażeniu „śnięte ryby” wstawić „w”, by wyszło „śnięte w ryby” — hulaj duszo poety, tu masz radochę taką, jak na trapezie z gwiazd i enyklopedycznych nazwisk.

O Czachorowskim Jan Marx napisał esej „Summa rustykalnej astrologii”. Każdy wyraz taki, żeby było uczenie. Tylko mniejsza dbałość w tekście. Konsekwencja, konsekwencja.

ale nie dziwnego, że przy takiej ilości lektur podejmowanych dla dotrzymania kroku Czachorowskiemu, autorstwo tej rewelacji przypisuje opinii socjologicznej.

Konsekwencja święci triumfy dalej. W jednym miejscu Marx pisze, że „wyobraźnia Swena przypomina komputer, w którego pamięć wpisano całą wiedzę i mitologię, fizykę i metafizykę świata”, w innym, że Swen jest „trochę po dyletancku obeznany z problematyką kosmologiczną i astronomiczną”. Komputer-dyletant — ten wynalazek Marx powinien czym prędzej opatentować.

Przecierając oczy wyczytuję w „Summie rustykalnej astrologii”, że „Czachorowski podejmuje nurt katastroficzny Awangardy”. Jeśli Awangarda była katastroficzna, to awangardzista nie był ani Peiper, ani Przybos, ani Brzękowski. Proszę przeczytać jeszcze raz „Tędy” i „Nowe usta”. Peiper w nich z hukiem zatrzasnął drzwi przed jakąkolwiek możliwością podejrzenia Awangardy o filiacje z katastrofizmem. Przed cieniem tej możliwości. Przy takiej dowolności interpretacyjnej równie dobrze można pisać o Asnyku jako nadrealiście, o Tetmajerze jako futurystce.

Rozmija się też Marx z danymi całkiem ewidentnymi. Szwajcara Ericha von Denikena mianuje Holendrem, radzieckiego astrofizyka Józefa Szklowskiego myli z krytykiem literackim Wiktorem Szklowskim, poglądy pierwszego przypisując drugiemu.

W końcu Marx wysypuje się generalnie. Mówi, że „przesłanie wierszy Czachorowskiego leży poza ich tkanką słowną. Poszerzenie słów Swena to już sprawa recepcji czytelnika i interpretacji krytyka”. Takie zagalopowanie się to rzadki wypadek. Powiedziane całkiem wyraźnie. Znaczący ni mniej ni więcej tylko, że co innego jest napisane, co innego przeczytane, a co innego wykazane egzegezą. Tylko przytaknąć. Dodam, że przy takim postępowaniu podejmując się wyinterpretować „poetycko” każdy tekst powstały z połączenia co dziesiątego słowa z dowolnego artykułu w dowolnej gazecie. I każdemu, kto się takiej interpretacji sprzeciwi, zarzuć brak kojarzeniowej wyobraźni.

A zatem — dalej faitez vos jeux messieurs. Już dawno odeszliśmy od sprawdzalności w poezji, od odpowiedzialności w krytyce literackiej.



# ŻRÓDŁA

CZTERY KOLUMNY MŁODOLITERACKIE

## Mrocznia

Waldemar Żelazny

**P**IERWSZY tom Waldemara Drasa „Czatownik” próbował ukonstytuować nową jakość poezji, nową optykę, nową wrażliwość na świat i jego pryncypia. Drugi tom „Nad stawem jasnowidzenia” jest częściowo wtórny w stosunku do pierwszego, częściowo zaś deprecyzuje swą wrażliwość, wizję świata i sztuki z „Czatownika”. Deprecyzowania oczekiwałem.

Konstruktywność sztuki według Drasa nie opiera się na alternatywie. Jeśli odnajdujemy pewien ciąg, linię konstruującą, trudno ustalić czy owa linia ma charakter regularny i czy ma swój negatyw, a cuda (tego brzusku zostaw strzelbom tych którzy je teraz właśnie odkładają — pisze w „Dolinie Jozafata”. Kolor czarny i kolor biały to kolory zielone — mógłbym powiedzieć i coś by się właściwie zmieniło? Chodzi więc o anachroniczność mechanizmów sztuki czy o jej formę? O logikę czy jej aprioryczność, przypadkowość w sztuce? Pytania, pytania... Spróbujmy na nie odpowiedzieć.

Granicy między negatywem a tzw. rzeczywistością nie ma. Drasa widzi synkretycznie. Synkretyzm — gdy sztywnieją coraz bardziej, ulegają schematyzacji formy naszego odczuwania — wytwarza się jako swego rodzaju reakcja obronna, wewnętrzny sprzeciw. Ponieważ sztuka jako tworzywo stanowi zespół składników różnej jakości, różnej proveniencji, a to, co jest ich wypadkową trudno sobie uświadomić, można przeczuć, trudno egzemplifikować, zakodować w język oficjalny, spragmatyzowany, ów sprzeciw daje się uzasadnić.

Nie ma więc stabilności: jest ciągle ruch, szukanie, ciągła przemiana. Drasa — jak mi się wydaje — dostrzegł libido sztuki, podświadomość, która sztuką rządzi. Nie będzie więc definiował formuł wzorca, lub jak to czyni wielu młodych poetów, tworzył modelu świata, jego atrapy.

Poezja polega na intuicji, na prze-czuwaniu piękna. Piękno jest chwilo-we. Długotrwałość jest zwykle koniunkturalna, podlega pewnej spekulacji. By zamiast kultury (sztuki) nie tworzyć jej substytutu musimy wyzbyć się wartościowania tego, co samo w sobie jest już wartością absolutną. W świecie poetyckim jako żywym organizmie obowiązywać muszą własne, w miarę bezwzględne prawa, *A my ciągle w tchu (i) usta całują śmiertelnie* — pisze Dras.

Spełnić — znaczy zabić, sztucznie spowodować koniec. Zacytujmy VI cz. poematu „Śpiew w koronie”.

*Wracajcie wy moje. Okaleczone!  
Smutnym czarne rozwiane drzew  
pochodnie  
Gwiazdą podróży nieskończony  
koniec —  
Zbliżają się wspomnienia umarłych.  
Wy którzy wiecie że nie  
odnajdziecie się  
Nigdy dłoń ustom swym podajcie.  
Zadna  
Modlitwa nie uspi wargi waszej  
drżenia.  
Uderzając sercem o wodę —  
zdążajcie!  
Niech przebiegną nocą wszystkich  
zwierząt  
Cienie. Niech legowisk swych ujrzą.  
Wielkie  
Oddalenie.*

Zwracam uwagę na dwa ostatnie zdania ilustrujące wcześniej postawioną tezę i na wers trzeci: Gwiazdą podróży nieskończony koniec. Franz Kafka napisał kiedyś, że „Śmierć przynosi nie koniec, ale cierpienie końca”. Pamiętajmy o tym czytając obie książki Waldemara Drasa.

W latach dwudziestych naszego wieku francuski teoretyk poezji Henri Bremond sformułował teorię tzw. „po-

Dokończenie na str. 10

Krzysztof Pyżewski

## MYŚLI

*Kiedy już wiedział, że słuszność jest po jego stronie, nie zastanawiał się, która to strona.*

*Zezowate szczęście nie patrzy prawdzie w oczy.*

*I w ostatniej desce ratunku trafia się sęk.*

*Wiązanie końca z końcem nie rozwiązuje sprawy środka.*

*Najgorsze są sytuacje, do których nie ma wejścia.*

## DEBIUT

Urszula Tochman

### TŁUMACZENIE

### Z PIEŚNI

### BŁĄDZĄCYCH

Mistyczny Świętek  
pękł na połowy  
glinianego dzbanka

ucisz te chrześzczące  
skorupy

Wiesław Aleksander Kalabun

## „CAŁA JASKRAWOŚĆ”

możesz powiesić się w sezonie  
nikt nie będzie  
protestował  
gdy spłowiejesz  
od jaskrawych jupiterów  
które dawno  
opuściły orbite  
wszystkich pór roku  
oddalają się od nas  
nawet nie zadrapałybyś ich

nie słyszę  
mojego  
pociągu

ma przyjść  
od strony  
zimnych pieczar  
i jaskiń

ucisz te skorupy

ma zapłakać  
dziecko mojej matki  
bose głodne

idzie torem mojego  
pociągu

ucisz skorupy

muszę słyszeć swoje kroki  
idę na przeciw  
dziecku mojej matki

żyłką światła

teraz kiedy samotność  
kolysze się w tobie  
i motyle bólu ścielą  
sobie jamkę  
możesz przyrzekać  
przyrzeknijmy razem

z własnej i nie przymuszonej  
woli  
będę ścigał po niebie jaskółki

Leonard Górski

## NIGDY NIE MOGĘ USŁYSZEĆ

1.

Nigdy nie mogę usłyszeć  
tego wiersza  
jednego jak pamięć jedna  
choć nie przebrana w mroku  
i jasności  
jak płomień świecy  
w ciemności jasny na tyle  
by cienie rzeczom przydawać  
krąży jak cma niewidzialna  
a tylko muska skrzydłami  
twarz  
i oczy nęci bez wytechnienia  
w mroku nocy czy dnia  
zawsze brata się z tym  
nieobecnym gościem  
którego pukania nie słyszysz  
a witasz serdeczniej niż  
dłoń przyjaciela  
i jeśli splekane usta  
mogą coś mówić o wodzie  
tak biała kartka papieru  
marzy i czeka  
i milczy

2.

jaki to dziwny świat  
odwrócić może porządek

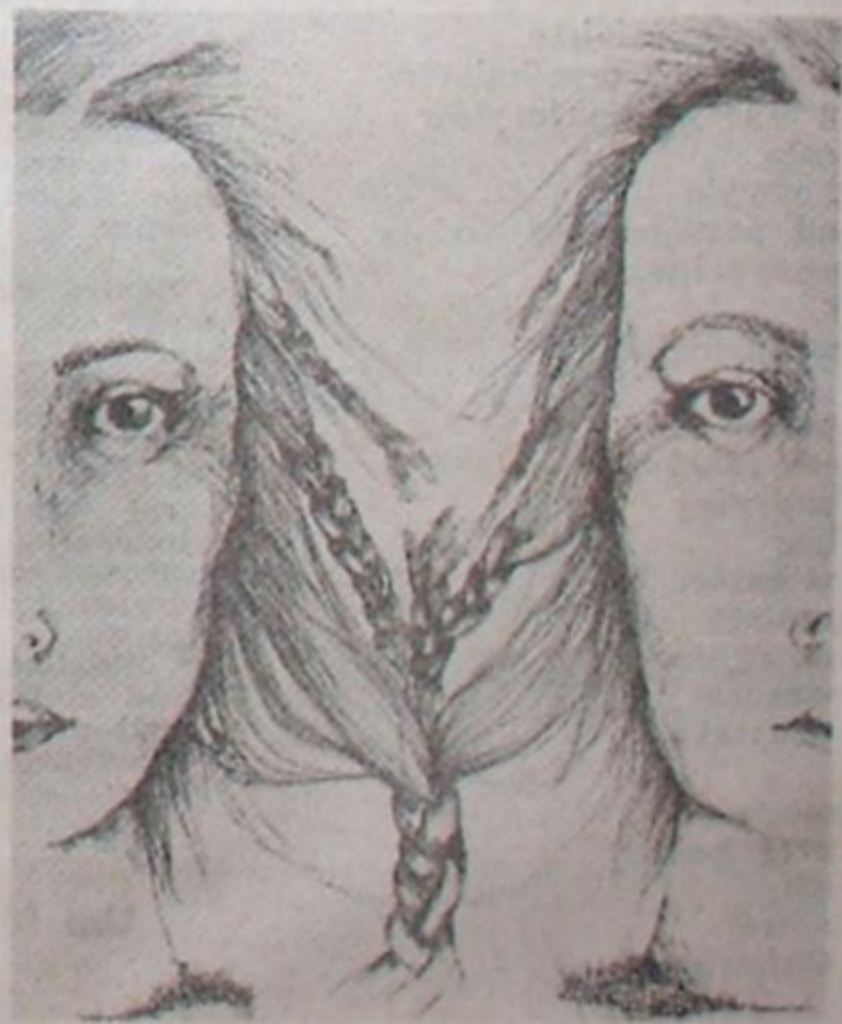
rzeczy widzianej  
jaki to dziwny wiersz  
przemieni twoje życie  
że stajesz się aniołem  
gdzie krążą czarne ptaki  
albo przed siebie idziesz  
choć stopy masz w otchłani  
i jak wychylić kielich  
goryczy nigdy nie przewidzianej  
a przecież tak potrzebnej  
jak niesłyszany wiersz

3.

to co w tobie narasta  
jak szum odległej rzeki  
głos z niewidzialnych równin  
lasów wzgórz i gór niebosiężnych  
to co lawiną nanosi  
kamieni dźwięcznych i czystych  
to echo zaledwie nikle  
to jeszcze nie wiersz

4.

jeśliś czasem zaśpiewał  
pożegnaj się z piosenką  
jeśliś poemat wywołał  
już po  
nim



Joanna Szeja-Kuś, rysunek tuszem



Géza Képes

## WIERSZ

„...I zobaczył nowe niebo  
i nową ziemię”

Sw. Jan: Objawienie XXI, 1.

nowy  
wszechświat  
po kawalku  
rodzi się:

szczególny  
świat

bo  
poeta  
swoiste  
specyficzne

życie  
wiedzie  
szczególnej  
specyficznej  
pełen jest  
obawy  
specyficznym  
tajemniczym  
językiem  
mówi —

o  
słowo  
wszechmogące  
znowu  
miażdżysz  
przeszłość  
i przyszłość  
nowe niebo  
nową ziemię  
tworzysz  
nawet  
od nowa  
tworzysz  
jeśli trzeba  
Wszechmogącego

i trzeba!  
bo  
kilka razy  
Wszechmogący  
nie  
stworzy  
ale poeta  
zawsze  
stworzyć  
musi:

ślady słowa  
drzewa wyskakują  
trawa bujniejsza  
z żyjących przedmiotów  
z żyjących życiorysów  
cała  
hodowla  
od prawdziwego świata  
prawdziwsza  
i  
odważniejsza

potem  
jak jakiś  
kapryśny  
bóg  
w garści  
zgniata  
do ognia  
wrzuca  
wszystko

mogą  
przychodzić  
ich  
nowe  
Objawienia

Z węgierskiego przełożył  
Paweł Gembał

Kamena str. 8

# Wołanie o ciszę

**K**ILKA lat temu w Stanach Zjednoczonych ukazała się niecodzienna książka zatytułowana „The Nothing Book”, czyli „Książka o niczym”, „książka nie istniejąca”. Składa się ona z około dwustu czystych stron, nie ma autora, a wydawcy proponują, aby czytelnik zapisał ją według własnego uznania. Jeden z krytyków amerykańskich Richard Freedman recenzując tę „nieksiążkę” radzi, aby zostawić ją czystą. Twierdzi bowiem, że jest ona tak zadowalająca duchowo i artystycznie, że ma tylko nadzieję, iż zostanie wypuszczona dostosowana do niej płyta długogrająca. Pięćdziesiąt minut błogosławionej ciszy byłoby dobrodziejstwem, za które każdy by chętnie dzisiaj zapłacił.

Jakkolwiek potraktujemy tę wypowiedź, nasuwa ona na myśl tendencje bardzo wyraźnie rysujące się obecnie w literaturze Zachodu (nie tylko zresztą w literaturze, ale i w życiu codziennym), a zwłaszcza w literaturze amerykańskiej. Są to tendencje pesymi-

styczne i katastroficzne, głosy ostrzeżenia przed nadmiernym rozwojem cywilizacji, który niesie za sobą zniszczenie środowiska i dehumanizację człowieka. Społeczeństwa o bardzo wysokim poziomie techniki zaczynają uświadamiać sobie bezsens i szkodliwość dalszego trzymania się dotychczasowych wzorców. Umysłają sobie potrzebę ciszy, spokoju, naturalnego pożywienia i bliższego kontaktu człowieka z człowiekiem.

Tendencje te reprezentują dwa mini-opowiadania amerykańskiego pisarza W. M. Merwina. Choć nie mamy jeszcze w Polsce wszystkich „dobrodziejstw” cywilizacji, warto pomyśleć czy powinniśmy o nie za wszelką cenę zabiegać znając problemy, z którymi borykają się kraje wysoko uprzemysłowione. Chyba, że chcemy trzymać się zasady, iż człowiek uczy się tylko na własnych błędach.

M. A.

W. S. Merwin

## GLAZ TERGVINDERA

**P**EWNEGO razu mój przyjaciel Tergvinder ściągnął do największego pokoju w swoim domu wielki okrągły glaz. Wtoczył go po schodach za pomocą kilku desek i umieścił pośrodku pokoju, tam, gdzie u niektórych ludzi stoją stoliki do kawy (on sam takiego stolika nigdy nie posiadał). Stwierdził, że pasuje tam jak ulał.

Kamień wygląda naprawdę zwyczajnie. Nie jest tak ogromny jak skala w Plymouth, ale przecież nie ma też na celu służyć imponującej kampanii reklamowej<sup>1)</sup>. To między innymi powiedział o kamieniu Tergvinder. Oznajmił, że nie rości sobie do niego żadnych praw. To inni nazwali go „glazem Tergvindera”. On sam stwierdził tylko, że jego zdaniem kamień pasuje tam jak ulał.

Pies Tergvindera zaczął sikać na kamień, co okazało się nieco kłopotliwe (Tergvinder nie usunął dywanu zanim umieścił glaz w miejscu, jak twierdził, dla niego odpowiednim. Kot również zaczął się tam zalać. Poczłkowo żona Tergvindera potykała się o niego dość często, co nie wpłynęło korzystnie na i tak już napięte stosunki między małżonkami.

Tergvinder oznajmił, że nie ma na to żadnej rady. Taka już jest kolej rzeczy. Rzadko używał tego wyrażenia, a w każdym razie nigdy, kiedy miał chociaż cień wątpliwości.

Zwierzył mi się kiedyś że często budzi się w środku nocy nękany przez pradawne bezimienne bóle naszej planety, wstaje cichutko, aby nie obudzić żony i nago przechadza się po domu nie zapalając nigdzie światła. W takich chwilach — twierdził — przylapuje się na słuchaniu; słucha świadomy, że niektóre kształty mającające w ciemności wydają sciszony dźwięki podobne do oddychania, coś, czego nigdy nie robią w dzień. Wyznał, iż zdał sobie sprawę z pustki istniejącej w ciemności pośrodku największego pokoju, pustki, która oddycha z ponurym niezadowolaniem w poczuciu jakiegoś braku, czekając na coś, czego nigdy nie widziała i nie potrafi sobie wyobrazić, ale bez czego nie może zaznać spokoju. Był to dźwięk — utrzymywał Tergvinder — w którym poczuł coś sobie bliskiego, postanowił więc (oczywiście nie wspominając o tym nikomu) zaspokoić, jeżeli to możliwe, tę niemą tęsknotę zda-

jącą się tkwić bezustannie na skraju rozpacz. Nie wiedział jednak jak to zrobić i rozmyślał tak przez długie miesiące, pozornie nie zbliżając się do rozwiązania. Aż tu nagle pewnego dnia ujrzał ten glaz. Przez cały czas drzemał on na dnie jego pragnień — twierdził Tergvinder — ale nigdy dotąd nie widział go naprawdę. Nigdy nie uśmiewał sobie po co on jest. Ale czym byli bliżej domu tym mocniej się upewniał. Glaz wtoczył się na swe obecne miejsce jak zaginiony kochanek padający w wytęsknione ramiona.

Tergvinder mówi, że teraz, kiedy przechadza się nocą po ciemnym domu, zmierza do dużego pokoju i staje w jego drzwiach słuchając ciszy wypełniającej środek podłogi. Zna jej wielkość i ciężar, dotyka, orientuje się co mniej więcej myślą o niej inni. Wie, że jest to cisza. Gdy tak słucha, jakiś cień tej ciszy też go dosięga. Często wchodzi po chwili do pokoju, zbliża się do glazu, klęka obok niego i rozmawiają tak godzinami w milczeniu, milczeniu przerywanym tylko odgłosem jego własnego oddechu.

<sup>1)</sup> Plymouth Rock znana jest jako miejsce, do którego przybyli w 1620 roku jedni z pierwszych osadników angielskich. W rzeczywistości przybili oni do brzozy w innym miejscu, nieopodal, ale w związku z tym, że Plymouth Rock (rock — skala) prezentuje się okazale — ona właśnie figuruje w folderach, reklamówkach itp.

## PRZEPROWADZ TEN PROSTY TEST

**Z**AWIAŻ sobie czymś oczy. Jeśli masz czas, pozostań przez chwilę w bezruchu. Poczujesz, być może, jak jeden czy też więcej twoich zmysłów zaczyna do ciebie z powrotem płynąć w ciemności — pojedynczo i anonimowo. W międzyczasie niech ktoś inny ułoży przed tobą w rzędzie produkty, które mają zostać użyte. Wskazane, aby wszystkie znajdowały się w identycznych pojemnikach, nie jest to jednak konieczne. W miarę możliwości przeprowadź ten test z kimś, kto będzie ci podawał kolejne porcje — po łyżeczce każdego produktu, bez wyjaśnień.

Zgaduj, co próbujesz, a ta druga osoba niech zapisuje twoje odpowiedzi.

Następnie odsłoń oczy. Układając produkty twój pomocnik powinien usunąć z każdego z nich fragment etykiety lub opakowania i umieścić go przed odpowiednim produktem. Ta odrobina informacji nie może zawierać rynkowej czy gatunkowej nazwy towaru ani też żadnej wskazówki co do jego smaku czy zastosowania. Ani ceny. Powinna ograniczać się do tej części etykiety czy opakowania, na której podane są składniki produktu podawanego testowi. I tak na przykład:

„Zawiera dekstrynizowaną mąkę, kakao alkalizowane, odłuszczone mleko w proszku, odywkę drożdżową, białko roślinne, agar, hydrogenizowany olej roślinny, żółtko w proszku, GUAR, słodzik, lecytynę sojową, zapach cytrynowy, acetylowe estry winowe jedno i dwuglicerydów jako emulgatory, polisorbent 60, 1/10 jednoprocetowego benzoenu sodowego dla ochrony przed zepsuciem”.

Czy:

„Zawiera sproszkowane ziemniaki, serwatkę w proszku, gumę roślinną, emulgator (monostearinian glicerolu), syrop inwertowany, tłuszcz piekarniczy ze środkiem utrzymującym świeżość, laktozę, kwas sorbinowy chroniący przed pleśnią, barwnik karmelowy, naturalne i sztuczne substancje smakowo-aromatyczne, kwaśny pirofosforan sodowy, kwaśny siarczyn sodowy”.

Albo:

„Zawiera ekstrakt mięsa wołowego, wyciągi pszenne i sojowe, skrobię jadalną, słodką serwatkę w proszku, karagen wapniowy, olej roślinny, fosforany sodowe utrzymujące świeżość, BHA, BHT, glikol propylenowy, pektynę, witaminę PP, sztuczne substancje smakowo-aromatyczne, barwniki”.

Powinienes użyć przynajmniej trzech różnych produktów.

Próbuj je ponownie, tym razem z odsłoniętymi oczami. Zgaduj znowu, a twój pomocnik niechaj notuje odpowiedzi. Jeszcze raz zawiąż sobie oczy. Każ swojemu pomocnikowi zmienić kolejność produktów i podawać sobie jeszcze raz po łyżeczce każdego z nich.

Zgaduj co jesz i pijesz (jeżeli jesteś w stanie dostrzec różnice). Ale tym razem nie poprzestaj na tym. Pomyśl, po co jesz i pijesz daną rzecz. Jak to może mieć dla ciebie znaczenie. Z jakim zamierzeniem zostało to wyprodukowane. Przez kogo. Kiedy. Gdzie. Dlaczego. Pomyśl, na którym szczeblu ewolucji zrobiłeś pierwszy krok w tym kierunku. Pomyśl, które z twoich narządów to aprobują. Pomyśl, czy chętnie przyjmują to do swego wnętrza. Pomyśl, jakie miejsce zajmuje to w ich tęsknotach. Pomyśl, w jakim stopniu stajesz się tym co spożywasz. Pomyśl, jak szybko. Pomyśl o smaku dzikiego miodu i chleba świętojańskiego. Pomyśl o smaku wody. Pomyśl, co czują rzeki, gdy umierają. Pomyśl dlaczego palone są niemowlęta. Pomyśl dlaczego niebiosą mileją. Pomyśl, po co w ogóle się narodziłeś.

Przełożyła z angielskiego  
Monika Adameczyk

Uta Mauersberger

## STARA NOC

Uta Mauersberger ur. 1952 r., studiowała do r. 1974 bibliotekoznawstwo na Uniwersytecie im. Humboldta w Berlinie.

Moje oczy wysoko  
do księżycy podniesione.  
Ja pochłaniam  
całe moje niebo.  
Napuszona i zgorzkniała  
bez spokoju cieni  
stoję w twych oczach.  
Ukryte ręce, moje piersi,  
male, chronią się  
z powrotem w ciało.

Lecz zbyt ciężkie spojrzenie  
w twoim horyzoncie  
zalamuje ci oczy.  
Co to jest, ten upał  
bojaźliwie czerwony  
od przyémionego lata?

Z niemieckiego przełożył  
Sławomir Myk



**P**OPOLUDNIOWY wykład odbył się w ceglanej sali, pełnej zapachu lawendy, szarych mebli przykrzytych pokrowcami i pieczelniczkami zakonserwowanej broni, ustawionej pod ścianami na stojakach. Siedzieliśmy pochyleni w ławkach niby mali chłopcy, przyciasne mundury, pozapinane na wszystkie guziki były niezbyt wygodnym strojem po sutym obiedzie, jakim nas urażono. Wiedzieliśmy jednak, że ten obiad, taki pożywny i kaloryczny, był przewidziany recepturą ściśle wyliczoną, i za tym wyliczeniem nie krył się nawet cień sympatii, bowiem tuż po nas jak indyki przeznaczone na zarznięcie i sprzedaż. W ogóle w tych ceglanych murach koszar trudno było o cień sympatii.

— Jesteście więc Gwardią Cesarzką — ciągnął swój polityczny wykład Przełożony — wymagania będą wzrastać z każdym dniem służby. Trzeba zapamiętać o prywatnym życiu, przeróżnych uciechach i słabostkach. Mam przede wszystkim na myśli kontakty z kobietami. Pełno się tu ich pęta, mają głód w oczach i chętnie dostawiały się do wewnątrz. Jak czarne ptaki otaczają koszary, brzuchy i pierś w nich wysychają. Jednakże należy mieć to na uwadze, że cała wasza energia powinna być skierowana ku wyższemu celom, kontakt z kobietą może się okazać zgubny dla członka Gwardii Cesarzkiej, proszę się nie śmiać w ostatnich rzędach, w wypadku waszej utajonej choroby Cesarz byłby pozabawiony...

Zauważyłem, że mój sąsiad w ławce, zamiast notować wykład, rysuje krągłe kształty, niby to chmury, niby balony, łączy chmury z balonami i powstają rządy i szeregi kobiet roześmianych, wypełnionych błękitem. A minę miał przy tym rysowaniu radosną, minę Boga, który wyjmował żebro z Adama i tworzył kobiety.

— Wiesz, stary — zwierzył mi się po cichu mój sąsiad — chyba dobrze ze mną nie jest. Zaobserwowałem u siebie jakieś nowe pragnienia i skojarzenia. Żeby to jeszcze był pościąg do zwierząt, do much, czy coś w tym rodzaju. Ze mną gorzej, bo te wszystkie naoliwione lufy, otwory, zamki, armaty, karabiny, nawet czolgi, kojarzą mi się z jednym łódzkiem drzenie rąk, a ponadto pocą mi się dłonie...

Przełożony zaczął się przechadzać po sali i od niechętnia ogarniał spojrzeniem notatki elewów. Sąsiad mój, zaskoczony, nie zdążył schować zeszytu.

Przełożony stał nad nami, czuliśmy zapach dokładnie wymytego i skropionego lawendą męskiego ciała, nawet bez podnoszenia głowy widziałem niebieskawy zarost, niby cień na różowej bryle twarzy, słynny na cały pułk zarost, który trzeba było golić trzy razy na dzień, a mimo to niewiele pomagało, bowiem włosy barwiły skórę, niby tkwiące w niej drobnutkie ziarenka strzelniczego prochu. Jednocześnie było coś w tym wygoleniu, wystrzyżeniu, wypchnięciu odrażającego, wydawało mi się, że żadna kobieta dłoń z własnej i nieprzymuszonej woli nie pogłaskałaby policzka tego rasowego i stawianego nam przecież za wzór mężczyzny.

Tak więc Przełożony stał nad nami, nasze twarze zbierały purpurowymi strumyczkami krwi, bowiem kolega wstydział się za siebie, a ja się wstydziałem za kolegę, i równocześnie obaj baliliśmy się Przełożonego. Czulem się winny nieomal w tym samym stopniu co i mój sąsiad, ponieważ nie zaprotestowałem i nie poinformowałem natychmiast Przełożonego, że wykład nie jest prawidłowy i zgodnie z regulaminem notowany.

— Co to jest? — zapytał Przełożony.

Milczeliśmy. Wiedzieliśmy, że to tylko gra, bowiem Przełożony doskonale zdawał sobie sprawę ze znaczenia obrazka.

Postanowiłem strzelić: — Nowy rodzaj armat. — Mówicie: nowy rodzaj armat... Niby wszystko się zgadza: otwory, lufy, kółka, okrągłości. Ładne armaty sobie wyhodowaliście na papierze, dobrze, już dobrze, i wam się coś od życia należy, zezwalam na pokolorowanie. Pamiętajcie jednak, że gdyby takie armaty miały się znaleźć na terenie koszar, byłbym zdecydowanym pacyfistą i zażądałbym natychmiastowej konfiskaty broni. A wiecie, że ze mną nie przelewki... — mruzczał coś do siebie i powoli szedł w stronę katedry.

Odetchnęliśmy. Elewowie spojrzeli na mnie z podziwem. Tak to jeden kiepski dowcip, uznany przez Przełożonego, rozładował sytuację.

★

Zauważyłem, że tutaj, w koszarach, poza standardowym wyposażeniem, zresztą najlepszego gatunku, każdy z nas miał jakiś ulubiony przedmiot, maskotkę, czasami piłkę, a największy szczęśliwiec miał fragment damskiej bielizny, zakończony koronką. Przechowywał go jak relikwie. Właściciel piłki domalował jej oczy z zielonymi powiekami, brwi, rzęsy i krwistoczerwone usta w kształcie serduszka. Po kryjomu całował piłkę i miał często poplamiona koszulę. Nim to właśnie najbardziej się interesowano. Wciągnięto go nawet na specjalną listę.

Przez zakratowane okna oglądałem kobiety, otaczające koszary.

Przychodziły po pracy w fabryce, zmęczone, w kombinizonach roboczych i stały. Czasami przechadzały się grupkami i rozmawiały o czymś z ożywieniem. Sytuacja ich była trudna, bowiem w okolicy brakowało mężczyzn. My zaś, zamknięci i pilnowani w koszarach, byliśmy dla nich niedostępni. Więc usychały. Nigdzie nie widziałem tak chudych kobiet. Myślałem nawet, że środki ostrożności, zalecone przez dowództwo, były stosowane z pewną przesadą, bowiem tak chude kobiety nie zaspokołyby naszych apetytów i chyba z konieczności wołelibyśmy nasze armaty, piłki i rysunki. Potrzebna była raczej akcja długoplanowa.

W świetlicy, po zajęciach teoretycznych, często rozmawialiśmy:

— Karmia nas aż za dobrze. Zawsze można by było coś z jedzenia odłożyć...

— Do czego zmierzacie? — pytał jeden, który zawsze nie nadał.

Nie zwracaliśmy na niego uwagi, bo i tak pozostawał w tyle. A w razie czego przecież mógł zawsze doskoczyć.

— Tak więc jedzenia jest dużo i miejsce w szafce by się znalazło. Gdyby tak przemycić takiego niedużego chudzielca, schować w szafce i podtuczyć, każdy miałby prawo do porannego sprawdzenia kształtów.

— Protestuję. Takie obmacywanie i szczypanie nie wyszłoby na dobre. Trzeba sporządzić dokładną listę kolejności i zamykać na kluczyk, żeby jej nikt nie sfalszował.

— Listę można sporządzić. Tyle mamy innych list, niech będzie jeszcze jedna — powiedział rozradowany ten, który zawsze nie nadał.

W głębi ducha jednak zazdrościliśmy nienadającego nam. Bowiem tak już się składa, że wszystkie wesole historyjki mają z reguły smutną pointę. A nienadający nie dostrzegł tej pointy, a jeżeli już dostrzegł, to z takim opóźnieniem, że zdążył się wystarczająco nacieszyć.

Jak to bywa w takim mikrospołeczeństwie, mieliśmy między sobą także przeganającego. Ten nie cieszył się nigdy. Zawsze przed oczyma miał finał, gdy my jeszcze grzeballiśmy się w praprzyczynach.

★

Była to przesyłka adresowana na nasz pokój. Wkroczył listonosz, promieniejący, uśmiechnięty, pierścionki loków na brodzie, wydawało się nam, że idzie na tle kwiatów, tyle w nim było baśni i dziecięcego optymizmu.

# Kotka

Adam Fiala

Okazał się jednak doskonałym urzędnikiem i skareł naszego przedstawiciela za nieczytelny podpis, złożony na pokwitowaniu.

Była to jednak chwilowa chmurka, którą porwał wiatr i słońce znowu rozblisło w pierścionkach loków. Listonosz oddalił się lekko, krokiem tancerza.

— Gdyby to była kobieta — ktoś westchnął.

Parsknęliśmy śmiechem:

— Nie wiesz o tym, że generalowie zabronili kobietom pełnienia tak odpowiedzialnych funkcji? Pomyśl: co wart byłby człowiek bez korespondencji i listów do niego pisanych?

— Przewiduję smutny finał tej całej historii — powiedział ze sceptycznym uśmiechem przeganający.

Uwaga ta nie zrobiła na nas najmniejszego wrażenia. Ostatecznie, w naszym położeniu, nikt nie liczył się z happy endem. Wiedzieliśmy doskonale, że lud nie lubi generalów. Wiedzieliśmy, że przedzej czy później generalowie obalą cesarza i ogłoszą swój rząd, okrutny i nietolerujący najmniejszego oporu i słabostek. Wiedzieliśmy, że niektórzy z nas, zwłaszcza ci wybijający się, też zostaną generalami i wtedy skierują swych byłych kolegów na szubienice, bądź napiszą o nich, że zostali zastrzeleni w trakcie ucieczki. Tak łatwo zostać zastrzelonym w trakcie ucieczki, bowiem człowiek cały czas ucieka. Właściwie życie jest ucieczką: przed sobą, przed losem, przed bliźnimi, ucieczką bez celu, czystą, samą w sobie, ucieczką dla ucieczki...

— Może byśmy jednak utworzyli tę paczkę? — powiedział praktyczny.

— Czy jednak mamy prawo? Może ona się dostała na teren koszar w sposób nielegalny? — zaczął ktoś wątpić.

— Idioto, przecież tutaj system sprawdzający działa z dokładnością komputera.

— Róbcie, co chcecie, ale nie chciałbym być tym, co jest wewnątrz paczki — powiedział przeganający.

Tym razem jego uwagę potraktowaliśmy poważnie.

— Czy sądzisz, że tam może się kryć jakaś niespodzianka?

— Nie sądzę, jestem tego pewny — zauważył przeganający.

— Gadanie gubiło rządy i narody — zaśmiał się praktyczny.

Pochylił się nad paczką. Mogliśmy się zobaczyć jedynie na ten gest, bo cwałowały wewnątrz nas falistym ruchem, niby jakaś gigantyczna konnica, wszelkiego rodzaju koncepcje, „za” krzyżowały się z „przeciw”, jedna pewność rodziła dwie wątpliwości, dwie wątpliwości mnożyły się w dziesiątki, setki, tysiące, aż na czoło wystąpiły perliste krople potu i doszliśmy do zgodnego wniosku, że nie potrafimy być odpowiednimi żołnierzami, na których w czasie planowanego zamachu mogłyby się wesprzeć generalowie, i z których — w przyszłości też wyrosłoby wojskowi wyższej rangi.

Temczasem praktyczny zdolał już zderzyć wierzchołek papieru.

Pozarpany, a równocześnie zupełnie przypadkowo ułożony w piętrzące się góry serpentyny, papier kojarzył mi się z dekoracją teatralną (nawet w wojsku żyłem sztućką i teatrem), falami morskimi, na których powierzchnię unosi się łódeczka (trochę to sentymentalne, ale nie wstydzę się, bo takie okrutnie przykre to życie w koszarach). Praktyczny zdjął pokrywę pudła, uformowanego z grubej tektury.

Wydawało mi się, że wewnątrz spostrzegam mnie.

Pochylił się wszyscy, a praktyczny to nawet aż sapnął w podnieceniu: tak chciał od razu chwycić ten przedmiot, leżący na spodzie pudła.

— Może to ukryta bomba zegarowa? — powiedział nienadający.

— Nie widzisz, idioto, że to kotka? — zauważył praktyczny, który tym razem, o dziwo, stał się sentymentalnym.

Nikt jednak nie miał w swych subiektywnych sądach racji. Była to bowiem dziewczyna wychudzona, wynędzniała, może kilkunastoletnia, może nawet dziecko, odziana w nędzne szmaty.

— Piękna to ona nie jest. Sama skóra i kości — ktoś sceptycznie zauważył.

— Chłopaki — ożywił się praktyczny. — Robimy zbójkę. Podkarmimy ją. Przyda nam się coś żywego i ciepłego w tym pokoju. Będzie pomrukiwać z zadowolenia. Taka kotka!

— Nie kotka. Dziewczyna — protestowaliśmy. Ale w końcu nazywaliśmy ją później kotką.

★

Zadomowila się u nas, odżyła, zaakragliła. Co wieczór wychodziła na środek pokoju i rozbierała się do naga. Oglądaliśmy ją jak modelkę.

— Sprawiedliwość musi panować — zauważył praktyczny i od razu założył specjalny zeszyt wizyt.

— Ale gdy kotka doszła do siebie i okazała się piękną, jurną dziewczyną, wszelkie reglamentacje były zbędne, bowiem potrafiła zadowolić cały pułk i jeszcze by się nie czuła zmęczona.

Wędrowała więc w nocy od jednego do drugiego, niby radosna zjawą, pełna ciepła i wilgotności. Łączyła nas, stanowiła rodzaj wspólnej komunii, bowiem przez kontakt z nią stawali się bliźcy sobie. Polubiliśmy siebie nawzajem, staliśmy się bardziej delikatni, zrównoważeni i opanowani.

Nasi przełożeni spostrzegli zmianę. Cały pokój wydawał się im podejrzany.

Nękały nas bezustannie rewizje. Cudem jedynie udawało się przemycić kotkę z łóżka do łóżka. Na szczęście nie grzebali w naszych łóżkach, a tylko w szafeczkach. Konfiskowano lektury, książki wyrzucano przez okno i podpalano na stosie. Wystarczyło, że okładka nie podobala się rewidującym. A nie podobało im się prawie wszystko. W końcu trudno było ustalić, co im się naprawdę podoba.

— Męczycie się tylko przeze mnie — powiedziała kotka. A tyle dobrego wam zawdzięczam. Powinam odejść. Następnie, te najbiedniejsze, oczekują przecież przed bramą.

Wyperswadowaliśmy jej jednak, że nie może odejść, bo gdyby generalowie zorientowali się, że przebywała na terenie koszar, zginęłaby i znowu zaznaczono by, że została zastrzelona w trakcie ucieczki.

Wpadła zupełnie przypadkowo, jak to kobieta. W trakcie kolejnej rewizji (było już ich tak dużo, że zdążyła się do nich przyzwyczaić) przez pomyłkę poślizgnęła do łóżka funkcjonariusza, bardzo groźnego i nieprzyjemnego, a ponadto o upodobaniach zdecydowanie ukierunkowanych ku pulchnutkim chłopaczkom o rysach aniołków.

Śmiała się cały czas, śmiała się głównie ze swej pomyłki. Kopano ją, cucono zimną wodą z wiadra. Gdy odyskiwała przytomność, znowu się śmiała i lasła się do swoich oprawców. Istna zwiariowana kotka...

★

Ustawiono nas w szpaler i wręczono długie różgi. General miał przemówienie, długie, pokrętne i śliskie jak różga. Mówił o obowiązkach, wyrzuceniu się przyjemności, osłabiających ducha i ciało. Udowadniał na przykładach historycznych, że zmysłowi, leniwi ludzie, o skłonnościach artystycznych nigdy daleko nie zachodzili jako władcy a nawet gdy im udawało się, przez zupełny przypadek, osiągnąć stanowisko i władzę, nie potrafili jej utrzymać.

Kotkę rozebrano do naga. Mimo tortur nadal miała piękne ciało.

Wymierzono w nas lufy karabinów. Zostaliśmy uprzedzeni, że najmniejsze nieposłuszeństwo spotka się z właściwym odzewem władzy.

General zakomenderował. Popchnięto na nas dziewczynę. Jak automaty unosiliśmy różgi. Dziewczyna biegła jak szalona. Nie było odwrotu. Różgi ze świstem oplatywały jej ciało. Krawawilo. Przypomniałem sobie ten łak z rozpieczętowanej przesyłki, rozdeptany przez praktycznego.

General spojrzął na zegarek. — Dość! — zakomenderował.

Prawie wszyscy byli zadowoleni i prawie wszyscy mieli mokro w spodniach. Dziewczyna upadła na lewy bok i dogorywała.

Pochyliłem się nad nią. Czulem jej ciepły oddech ginącego zwierzątka.

Nie mogłem jej już w niczym pomóc.

(Opowiadanie ze zbioru „Witryna wisieców”, które ukaże się nakładem KAW w roku 1980).



# Lektura ogłoszeń

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

**Z**A moich szkolnych czasów pilny uczeń mógł wyczytać w podręcznikach historii literatury, że dawniej, choćby w okresie zwanym Oświeceniem, ten i ów autor piętnował wady ludzkie, ba, niekiedy narodowe. Karać nie mógł. Od tego był sąd (podkreślenie moje). Ale też nie zawsze mógł wymierzać sprawiedliwość. Autor oskarżał np., że ktoś nie dba o sprawę kraju. A to było trudne do udowodnienia.

Bez przesady jednak z tym wymierzaniem sprawiedliwości. Oskarżać, czy obwiniać o pewne słabości charakteru można, ale żeby zaraz karać? Któryż to sąd karaliby, że obywatel pił i pił, a westawiał z bólem głowy? Jego sprawa. Nas niech o to głowa nie boli.

— Zle się czuje?

— Jego zdrowie!

— Należ Józek, po pełnym!

Dziś — a wiedzą to już uczniowie najmłodszych klas — o jednych pisuje się częściej, o innych rzadziej, a o niektórych wcale. O Jerzym Jedziniaku pisuje się częściej niż o prezisie Lubelskiego Oddziału ZLP. Co nie znaczy, że ten ostatni uważa, iż powinno być odwrotnie. Ale na przykład nie nie piszą o Jonathanie Scichapeku asie wywiadu księstwa Monaco działającym na terenie Luksemburga. Inna sprawa, że takiego szpiega jeszcze nie wykryto. Jak wykryją, z pewnością napiszą. W „Kamieniu” również.

Pisać można o każdym. Lepiej lub gorzej. I to nie jest tylko moje zdanie. Mgr inż. Mioduchowski

rozumuje podobnie, poeta Stanisław Piotr Gaszyński także.

Ostatnio śle się pisuje o kelnerach, ale o piłkarzach jeszcze gorzej. Ci ostatnio prowadzą prawdziwie niesportowy tryb życia, a wobec dziennikarzy są niekulturalni. W szatni pokazują im pewne części ciała, których szacowni obywatele nie zwykli wystawiać na widok publiczny. Zapewne nie zrobili tego wszyscy. Tylko niektórzy. Nie podano jednak ich nazwisk. Rozumiem. Trudno bowiem rozpoznać znane nawet osoby od strony pleców zwłaszcza, gdy są pozbawione koszulek z numerami. Jednak jest to trudny problem do rozstrzygnięcia. Bo należałoby kogoś napiętnować, a winnego nie można znaleźć. Zawinił jeden, czy lepiej może powiedzieć: zakpił, a potępić będą innych. Chociaż nie wykluczone, że w środowisku sportowym czyn ten może się spotkać z cichą aprobatą. I wielu go będzie sobie przypisywać. Dla jednych wygłup lub czyn godny napiętnowania, a jednak inni będą chodzić w glorii wypinaczy. I nie jest to tylko moje zdanie. Mgr inż. Mioduchowski rozumuje podobnie, poeta Gaszyński także.

Przyypuszczam, że mgr inż. i poeta też by się chętnie na kogoś wypięli. Nawet, gdyby miano ich potem potępić. Oczywiście, nie wszyscy. Pewnym osobom mogłoby się to spodobać. Znaleźliby się może tacy, którzy by sobie ten czyn przypisywali. Niestety, nikt tym dwóm nie towarzyszy w drodze pod prysznic. W takiej sytuacji trudno o świadków. A bez świadków trudno

w coś uwiaryzić. Można wierzyć na słowo, że któryś z nich nadepnął w tańcu na nogę dyrektora domu kultury. I do tego przyznają się obaj. Proszę jednak o zachowanie tajemnicy.

Do wystawienia anonimu nikt się jednak nie przyznaje. I nie należy się temu dziwić. Opisano bowiem wszystko ze szczegółami. Drastycznymi. Bo ogólnikowość przeraża. Mnie przeraża. Przypuszczam, że autora anonimu także. Chcielibyśmy wiedzieć, kto zawińił, kto powinien bić się w pierś i ewentualnie wejść pod łóżko, lub pod stół i przez tydzień nie opuszczać tego miejsca. Powinno być po imieniu i z detalami. Mówię o tym Mioduchowskiemu.

— He, he — śmieje się Mioduchowski. — Wydaje mi się, że za dużo żądasz. Po imieniu i z detalami? Czyli, jak w ogłoszeniu matrymonialnym... Jak w tym: „Przystojna blondynka lat 28 pozna pana do lat 40, — wysokiego blondyna, miłe wiązany kędzierzawy, dowcipny, lubiący dzieci i podróże. Koniecznie z wyższym wykształceniem.”

— Mówisz o sobie? — pytam Mioduchowskiego.

— Nie o sobie — prostuje Mioduchowski. — Mówię o wyobrażeniach pewnej 28-letniej blondynki. Byłem u niej. Wchodzę, przedstawiam się, dziewczyna się krzywi. Nie odpowiadałam, myślę, trzeba jednak zrobić dobre wrażenie. Wątpi w moją urodę, trudno. Uroda rzecz dyskusyjna. Dowcipem ją oczaruję. Jeśli się rozeźmie, nikt nie powie, że ma do czynienia z osobnikiem ponurym. Wyciągam wyciniki z kuriera i odczytuję pogawarki przy samowarze. Dziewczyna nie przestaje się krzywić. Historię z mojej ostatniej podróży relacjonuję nieprzekonująco. Zupełnie jakbym moją ostatnią podróż znał jedynie z wierszy Gaszyńskiego. Teraz wiem, że jestem inny. Nie przystaję do jej wyobrażeń dowcipnego i wysokiego blondyna. Czuję się niczym wół zaprzęgnięty do kołoty. Łapię się za kieszeń. Sprawdzam, czy mam dyplom,

Mam! Więcej ja to jednak ja! Magister inżynier Mioduchowski! O ileż lepsza ogólnikowość! Jak zgręcznie brzmią sformułowania: niesumienność dozorca, nieuczciwość ekspedientka. Nikt nie czuje się dotknięty. Nieuczciwość, niesumienność — jakie są obce naszym charakterom. Bardziej przylegają do nas zalety. Które? Wszystkie. Bez wyjątku. Wierzymy w to. Wszyscy. Nie mam żadnych wątpliwości. Upewnia mnie w tym lektura ogłoszeń. Ileż to wywieszek na słupach, czy przystankach autobusowych: „Uczniwego znalazcę proszę o zwrot aparatu fotograficznego, portfela, magła”. Wierzymy w ludzi. Może nie? — pyta zaczepnie Mioduchowski.

— Zgoda — przytakuję i usiłuję odgrzebać w pamięci tekst ogłoszeń. O poszukiwaniu współników, kontrahentów, pracowników, towarzyszy podróży i urlopu.

Na słupie znowu ogłoszenie POMOC DO KUCHNI potrzebna od zaraz. To mógł napisać każdy z nas, ale i każdy z nas może być brany pod uwagę.

POKÓJ DO WYNAJĘCIA — To mógł napisać ktoś z dużym mieszkaniem lub komórką. Zapewne z myślą o bliźnich.

UCZNIA PRZYUCZĘ DO ZADOWU — Nie ulega wątpliwości: jakiś fachowiec. Również z myślą o nas.

Zamienię WIECZNY ODPOCZYNEK NA WIECZNĄ RADOŚĆ. Tym razem ktoś wyłącznie z myślą o sobie.

Wolną miłość na prawdziwą! Skrzypce na talent do gry!

Czulą nutę na dobrze brzmiącą! Zużyta protezę na dwie dobre laski!

Wszyscy z myślą o sobie. Ktoś coś nam zaofiaruje? — BĘDĘ TWOJĄ SZCZĘSLIwą GWIAZDĄ — mówi pani Cecylia. Pierwszy wyrzucił się Jonathan Scichapek, drugi jest Mioduchowski, Gaszyński trzeci. Nie tylko o nich chodzi. Pani Cecylia mówi to wszystkim. Nadzwyczaj chętnie. Mnie również. To ostatnie zdanie kreślę nie bez satysfakcji.

# Mrocznia

Dokończenie ze str. 7

ezji czystej. Według autora „La poésie pure” poezja znajduje się poza słowami, poza mową, jest czymś nie dającym się wypowiedzieć, leży w tajemniczej, mistycznej głębi, niedostępnej człowiekowi w sensie językowej percepcji. W momencie wewnętrznego wstrząsu owa głębia jawi nam się fragmentarycznie. Erupeja głębi, jeśli ma być postrzegana — wymaga języka autonomicznego, poetyckiego: bez żadnych związków pragmatycznych. Ten poetycki spirytualizm natrafia jednak w fazie realizacji na dającą się przewidzieć przeszkodę. Pisał o niej Artur Hutnikiewicz. Zacytujmy Hutnikiewicza: *Koncepcja „Poezji czystej” kryje [...] w sobie dość istotne niebezpieczeństwo, a mianowicie pokusę wytworzenia „metafizycznych głębin” na zimno. I dalej: Z „poezją czystą”, ma się sprawa podobnie jak z nadrealizmem lub „czystą formą” Witkacego. Nadrealiści pragnąc objawić podświadome, zaczęli preparować irracjonalne najzupełniej racjonalnie, z premedytacją.*

Trudno o bardziej sensowny zarzut czytając wiersze otwierające tom, a mianowicie „Syrena”, „Kula”, „Dymie, szykuj mnie”, „W imię twoje”.

Rozważania o kategoriach czasu i przestrzeni u Drasa zaczynają od tezy następującej: skoro świat poetycki jest próbą zapisu pulsującej w nas głębi, o wiele bardziej istotnym, bo porządkującym kryterium będzie następstwo obrazów, a nie następstwo czasu. Głębia jest zlepkiem utajonych i zwykle tłumionych przeżyć. Te ze sobą wiąże nie czas, ale określona racja psychiczna.

Techniką wyrażania głębi Dras bliski jest tasyzmem. Patrz płótna Pollocka, Kantora. Tasyzm — jedna z odmian malarstwa gestu, należy do nur-

tu abstrakcyjnego ekspresjonizmu. Swobodna gra barw, obrazów, spontaniczność, przypadkowość zdaje się „organizować” i zapelniać przestrzeń.

Dras lubuje się w mglistych krzywiznach, pejzażu ostrym, impulsywnym. Pokrywa go czasami — ów pejzaż — dziwna, metafizyczna powłoka mająca własne, ukryte jądro. Jądro polaryzuje, jest nie kontrolowane przez człowieka, ma charakter wyjątkowo immanentny. Czym więc jest i jakie zmiany strukturalne wywołuje w „mroczni” Waldemara Drasa?

Warto poświęcić tym rozważaniom osobny rozdział, rzecz bowiem wymaga pewnych cięć, interpretacji ostrożnej a wnikliwej.

Trudno wydobyc z wierszy Drasa jakiś w miarę jednolity dramatyczny kościół. Nie myślę o „Dolinie Jozafata”, ale o pozostałych wierszach lub cyklach wierszy ze zbioru „Nad stawem jasnowidzenia”. Poetycka rzeczywistość stanowi swego rodzaju enklawę o jakże własnej — filozoficznej składni. Stwierdziłbym wcześniej u autora „Nokturnów” brak autonomicznego czasu, niezwykłą aktywność, apologię ruchu. Stwierdziłbym także kompleks pewnej przemiany, kołowości. Dokonajmy teraz jego egzegzy.

Gdyby doszukiwać się u Drasa (wiersze od str. 5 do str. 32) nadrzędnej niejako kategorii porządkującej, odnaleźć ją i poprzestać na tym, doszlibyśmy — jak sądzę — do zbyt krzywdzących wniosków. Dlaczego? Czyżby było coś jeszcze poza samą przyjemnością konstruowania, poza techniką? Jakiś sens filozoficzny? A może sens i zarazem ciąg technicznych przyjemności?

Czytając Drasa mam wrażenie, iż zacieranie się wartości, ich zanik, ciągła degradacja, alienacja świata jest procesem nieuniknionym, bo dziejącym się także pomimo nas. Sztuka, świat sztuki, zaprzecza samemu sobie, sam się niszczy. Poeta jest medium obdarzonym wszechwładzaniem i tylko wszechwładzaniem obserwuje ów proces. Skłonny jestem twierdzić, że w po-

ezji Drasa obserwatorów jest więcej. Też sankcjonuje zarówno analiza składni jak i analiza sensów poszczególnych kwestii. Zacytujmy wiersz pt. „Pełnia”.

Tak umieranie. Tak biel.  
Tak jeszcze w chłodzie  
Szukam ciebie od gwiazd szybko.  
Tak umieranie. Biel kryją.  
W noc ryczą.  
A w nas tylko grzech  
W tym podeszto.

Dras uprawia symultane. Tym tłumaczyłby się również brak kategorii czasu, o którym pisałem poprzednio.

Obserwatorzy — jak przekonuje niemal każda praktyka spirytualna — wtajemniczają się coraz bardziej, wręcz uczestniczą, prowadzą dyskurs ze „zblizającym się”. Każdy z nich odczuwa w sobie cząstkę owego jądra, pulsu, który uprzednio był niedostępny. Moment taki upatruję w wierszu „Ratujące”. Zaczyna się od słów. *Przyszłość i przestrzeń / jak oddech obracają szczeble / Wnętrznosci.*

Wiersz ze stron 19 pt. „Kwitnące”. Zacytujmy fragment:

Jakże oczy  
Od lodu błyszczące święci niosą  
I śmieją się w tobie.  
Widzisz przez ogień i błękity  
Jak nektar cię słodzą.

Katastrofa ogólna, dziejąca się najpierw poza nami staje się naszą katastrofą, innej już nie ma. Jedyną formą ucieczki jest zgoda, podległość wobec niej — wiersze od str. 21 do str. 24. Ponieważ sensy uległy zatarcu, egzystencja opiera się na ich suchej rekonstrukcji, na technice, na gestach naśladowczych, intuicyjnych. Tworzą się więc nowe sensy, w samym tworzeniu jakiś sens głębszy, dający upust wszystkiemu co w nas zgłuszone, nieprzystosowalne do życia w racjonalnej skądinąd rzeczywistości.

Innej egzegzy wymaga przepiękny poemat Waldemara Drasa „Dolina Jozafata”. Jeśli można coś zarzucić Drasowi w „Dolinie...” to ekstensywność (w niektórych momentach) czyli niepotrzebne pomnażanie obrazów przy

jednej strukturze myślowej. Podobny zarzut postawił niegdyś Głowiński Swenowi-Czachorowskiemu.

W kolejnej melancholii, w ciągłym tańcu, muzyce, gdzie pięknym strasz, gdzie idąca umiera słychać nierówny oddech Bolesława Leśmiana. Ten go zwoździ do kraju wiecznej ciemności, do Hadesu, mówi: patrz, tu są Harpie, tu Cerber... zostawię cię z nimi samego.

Dras nie godzi się na świat jeden, choćby tak czarowny:

Znikaj, bo Harpie blisko i skóra  
półnagiej strasz tu  
szarlatanerii (...)  
Ona już w Dolinie Jozafata (...)

Czy rzeczywiście? A może ona zabrała ze sobą ten ciemny świat, od którego uciekla? A może jest jeszcze ktoś, kto tam wstępuje jak w ciału, ktoś ważniejszy od niej? Kto?

Nie czynię dalszej interpretacji poematu, bowiem zasługuję on na szkic oddzielny. Pytania, które postawiłem, powinny, jak sądzę, pomóc zrozumieć Drasa i jego niejednoznaczna przecież „mroczni”.

Waldemar Żelazny

Waldemar Dras: „Nad stawem jasnowidzenia”, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1973, str. 50. Cena 10 zł.



Kolumny zredagowali: Zbigniew W. Fronczek, Bogusław Wróblewski, Stanisław Żurek. Adres dla korespondentów: 20-078 Lublin ul. 1 Armii Wojska Polskiego 5. Komisja Kultury ZW ZSMP





**I**LEKROC wypadnie mi pisać o początkach działalności lubelskiego teatru dramatycznego w owym historycznym roku czterdziestym czwartym, pragnę zawsze, by czytelnik chciał zapamiętać trzy daty znamionujące odrodzenie się polskiego teatru na terenie „stołecznego” Lublina. Oto więc one: dzień 1 sierpnia, w którym to dniu po pięciu latach tragicznego milczenia rozległo się z lubelskiej sceny polskie słowo artystyczne — piękny wiersz fredrowskich „Słubów panińskich”, pokazanych Lublinowi przez przyfrontowy Teatr I Dywizji Wojska Polskiego. Następnym dniem szczególnie godnym zapamiętania jest dzień 12 sierpnia, w którym na tejże scenie lubelskiej odbyła się pierwsza premiera pierwszego w wyzwolonej Polsce Teatru, podejmującego stałą normalną działalność w niełatwych warunkach pookupacyjnych. I wreszcie — 29 listopada, na który przypadł niezrównany splendor pierwszej w Polsce Ludowej prezentacji jednego z największych dzieł repertuaru narodowego — „Wesela”, zrealizowanego siłami wszystkich aktorów przebywających w mieście — siedzibie PKWN, wojskowych i cywilnych, zespolonych tymczasowo pod egidą Teatru Wojska, po jego powrocie do Lublina z nowej linii frontu.

Przywołana tu na pamięć fenomenalnie szybka reanimacja polskiego teatru jakże wymownym jest świadectwem jego wspaniałej żywotności i jakże pokrzepiającym w momentach, kiedy stąd czy zowad dochodzą nas odgłosy podzwonnego najlepszemu tradycjom teatralnym.

Zrekapitułujmy teraz w miarę możliwości najwięcej przebieg działań artystów dobrej woli, którym społeczeństwo „stołecznego” Lublina zawdzięczało bujne życie teatralne nieomal już nazajutrz po wyzwoleniu.

Powiedziałam „bujne”, w sztuce bowiem liczy się nie tylko to, co jest spektakularne, lecz również to, co Irena Ładosiówna nazwała kiedyś „otwarciem walizki snów”. A więc w danym wypadku choćby i gorączkowe poszukiwanie egzemplarzy sztuk do grania, i nocne artystów rozmowy, i także trudny i wysiłki nie pod oklaski, jak przedarcie się Józefa Klejera do gmachu teatru przez „front uliczny” czy zabezpieczenie rozbitych skrzyń z mieniem teatralnym, zrzuconych z ciężarówek na bruk podwórza przez uciekający Deutsches Theater...

Jeszcze na ulicach Lublina wyły syreny gestapowskie, kiedy aktorzy — entuzjaści, Irena Ładosiówna i jej mąż Józef Klejer, rozpoczęli przygotowania do pierwszej premiery powojennej. Prócz nich obojga, w tych podziemnych próbach zrazu brali udział — Maria Górecka i Mieczysław Łoza, uczniowie okupacyjni Ładosiówny, oraz jej koleżanki aktorki — Irena Starkówna i Halina Buyno. Ale po wyjściu z pod-

ziemia doszłusowało do tej gromadki jeszcze kilku aktorów, m. in.: Edward Kowalczyk, Jerzy Sliwa, Maria i Przemysław Zielińscy. Tak narodził się Teatr Zespołu Aktorskiego, który było już stać na realizację sporego asortymentu sztuk, tyle że nie wieloobsadowych i nie wymagających inscenizacji monumentalnej. No bo za jakie pieniądze?

A więc, rzecz prosta, nie mogło być mowy o wydobyciu z „walizki snów”, powiedzmy — „Kordiana”. Postanowiono ostatecznie kontynuować rozpoczęte w schronie próby „Moralności pani Dulskiej”. Była odpowiednia obsada, był „wyszabrowany” gdzieś egzemplarz, był jaki taki swój prywatny przydziałek...

Resort Kultury i Sztuki poparł inicjatywę pionierów: we wspomnianym pamiętnym dniu 12 sierpnia Józef Klejer otrzymał przed premierą pismo zlecające mu prowadzenie Teatru Miejskiego w Lublinie. Doceniła też ofiarny wysiłek zespołu publiczność. Mnie osobiście ominęły wzruszenia tej przejmującej, niezwyklej premiery (moim pierwszym dniem lubelskim był dzień 30 września), ale opisywano mi ją przy różnych okazjach jeszcze za czasów PKWN. Zresztą mamy relację reżyserki, napisaną do zbioru wspomnień „W stołecznym Lublinie”.

Opowiada Ładosiówna: *W tej chwili, jednoczącej tłum widzów i garstkę aktorów [...], bohaterem nie była scena, nie byli aktorzy, nie był znakomity naturalizm Zapoiskiej, lecz POLSKIE SŁOWO, panujące znowu nad wykrwawionym, udźwieszonym Krajem i Narodem. Deszcz oklasków i kwiatów podał bezustannie na wszystko i wszystkich nie tylko przez cały czas premiery, ale i następnych przedstawień.*

Lubię cytować ten passus, który, oddając tak trafnie ówczesne nastroje szerszych kręgów społeczeństwa, dostarcza ważki argument na zapamiętanie, że to już od premiery 12 sierpnia 1944 roku liczą się lata lubelskiemu teatrowi dramatycznemu w Polsce Ludowej.

Dogodniejsza wszak dla obchodów jubileuszowych jest data pozaurlopową, tedy oczywiście za najważniejszą należy uznać dzień 29 listopada, uświetniony premierą „Wesela”. Albowiem bez premiery o tak wielkim ciężarze gatun-

kowym życie teatralne „stołecznego” Lublina nie osiągnęłoby swych szczytów.

Początkowo dzieje Teatru Wojska Polskiego, który wstawił się tym wydarzeniem teatralnym, są jeszcze jednym wzruszającym świadectwem niezniszczonego przywiązania ludzi teatru do swej urzekającej sztuki. Wiemy od znakomitej artystki Ryszardy Hanin, podówczas młodej amatorki, że gdy w Sielcach nad Oką, gdzie formowała się I Dywizja im. Tadeusza Kościuszki, organizowano z inicjatywy „oficera bez stopnia” poety Leona Pasternaka, teatryk polowy, aktorów zawodowych można było w nim „policzyć na palcach jednej ręki” (byli to — Marian Nowicki, Jerzy Walden, Halina Billing,

zaś, rzecz jasna, zyskiwał na powiększeniu zespołu.

W ostatnich miesiącach roku 1944 odbudowa i rozbudowa kultury i sztuki poczyniła już gigantyczny krok naprzód. Rozwojowi teatru sprzyjał napływ do Lublina aktorów wybitnych i młodych utalentowanych. Władomo, że znaleźli się wtedy w Lublinie: Aleksander Zelwerowicz, Jan Kreczmar, Justyna Karpińska, Jacek Woszczerowicz, Renata Kossobudzka, Jan Swiderski, Czesław Wołłejko, poza tym kilku absolwentów przedwojennego PISTU.

Dla lubelskiego teatru dramatycznego, dla wszystkich jego następnych dyrekcji, sam fakt, że na jego scenie zostało wystawione „Wesele” wyreżyserowane przez Jacka Woszczerowicza z takim zespołem, miało znaczenie nieprzemijające. „Stołeczność”, która opromieniła tę scenę w okresie PKWN, obowiązywała.

Nie trudno było ją zachować w pełni Antoniemu Różyckiemu, który objął stanowisko dyrektora Teatru Miejskiego z polecenia PKWN (na zasadzie umowy z Zarządem Miejskim) bezpośrednio po wyjeździe Teatru Wojska Polskiego do dalszych oswobodzonych miast — zespół Różyckiego liczył wielu gwiazdorów. Pozwolę sobie wymienić trochę nazwisk: Maksymilian Chmielarczyk, Zygmunt Chmielewski, Irena Ładosiówna, Józef Klejer, Gustawa Błońska, Józef Kondrat, Janina Macherska, Eleonora Frenkiel-Ossowska, Irena Malkiewicz, Jerzy Pichelski, Janina Martini, Leon Łuszczewski, Hilda Skrzydłowska, Tamara Pasławska, Wiesław Michnikowski (porwany ze sceny Domu Żołnierza)... W pierwszym sezonie współdziałał z Różyckim jako kierownik artystyczny znany reżyser Karol Borowski.

Gorzej przedstawiała się sprawa repertuaru, który był „stołeczny” na sposób przedwojenny: trochę klasyki dla honoru domu, więcej szlagierów pod publiczke. Dziś jednak spojrzelibyśmy na tę dziwnie powyginaną „linię repertuarową” z pewnością pobłażliwiej.

(c. d. n.)



Ornamenty z sali widowiskowej Państwowego Teatru im. J. Osterwy  
Rys. Teresa Targońska

## Między okładkami

### Roman Bratny: „Rozstrzelane wesele”.

Krajowa Agencja Wydawnicza, 1975, str. 164, cena 25 zł.

Bratny już chyba nie zejdzie z tej linii tematycznej, którą wyznacza zestawianie losów współczesnych z ich genealogią okupacyjną, czy jeszcze międzywojenną. Zbyt często jednak linia tematyczna przelata się w swoisty kanon determinujący problem, fabulę, postać. A więc zawsze jakieś zasłabłości

okupacyjne elagnace się za kimś chmurą podejrzeń. Jakaś sprawa do wyjaśnienia między ludźmi, którzy się znają tylko z dawnych pseudonimów. Konflikt między kombatantem ojcem a technicyzycznym synem, dretwota jednych, nadużytecia innych we współczesnym zakładzie produkcyjnym. A to wszystko sowiecie zaprawione seksem, którego warianty Bratny obmyśla ze skwapliwością drugorzędnej pisarza w ten sposób zmuszonego zabiegać o powodzenie książki.

Wiele tytuł „Rozstrzelane wesele” jest trochę mylne. Za okupacji gestapo urządzało naskok na leśniczówkę, w której odbywało się partyzanckie wesele, kładąc trupem wszystkich z wyjątkiem panny młodej, ale to wcale nie oś tematyczna powieści. Tylko punkt zaczepienia. Bratnemu chodzi zawsze o to samo: o strój arlekińską uszyty z lalek dziesięcioletniej obyczajowości, światopoglądowych nastawień, zjawisk dziejących się na płaszczyźnie społecznej, zawodowej, towarzyskiej. Z tym, że nie wszystkie lalki są z materiału sprawdzonej jakości.

### Ryszard Kapuściński: „Cesarz”.

Czytelnik, 1978, str. 213, cena 26 zł.

Kto pamięta wybuch wojny włosko-abisyńskiej wie, że cesarz Hajle Sellasje wszedł na wokandy światowej uwagi w aurze niemal Chrystusa napadniętego narodu. W kontraście z bezdusznocią włoskiej przewagi militarnej ten patrioteczny duch armii walczącej zdziwami przeciw czołgom zyskał sympatię nie tylko parlamentów, ale i największych ludzi na całym świecie. Widziano tu upostaciowaną prawosie narodowi stojącego na niskim stopniu cywilizacji, zmuszonego do walki z tejże cywilizacji barbarzyństwem. Dla takich świadków legendy cesarza reportaż Kapuścińskiego jest cieniem pięści między oczy. Reporter rozmawiał z szeregiem osobistości etiopskich po detronizacji cesarza. Z tych rozmów wyłania się obraz przehytrzonego wszystkich starca, grającego politycznego pierwszego wody, chciwego traktującego państwo jak swoją prywatną własność, autokratycznego satrapę, przed którym zarówno tłum jak i dostojnicy padali plackiem. A jeszcze właściciela małego japońskiego pieszka

Lulu, który w czasie postucha miał prawo moczyć dygnitarzom buty, przy czym dygnitarzom nie wolno było drgnąć; do seierania moczu był wyznaczony specjalny funkcjonariusz. A czy wiecie ile Hajle Sellasje miał na koncie w Szwajcarii? Przywódcy rewolucji, których Kapuściński nazywa oficerami (wojsko było główną siłą przewrotu), twierdzili, że cztery miliardy dolarów. Pojawia się później sprostowanie, które mówi, że „tylko” kilkaset milionów. Wtedy, kiedy klęska głodowa Etiopii spowodowała kilkadziesiąt tysięcy trupów.

A więc mąż opatrnościowy i pasyż w jednej osobie? O paradoksy. Bo nawet oficerowie, którzy zaaranżowali bądź przepędzili z pałacu po kole wszystkie cesarskie otoczenia, z samym cesarzem obeszli się jak z jajkiem. Nie stracił głowy, nie stracił dolarów. Dla europejskiej mentalności coś tu się nie zgadza. Tak więc, czytelniku, bez akcji, bez dialogów, bez posługiw, w samym zestawieniu relacji masz przed sobą kryminał.

M. Z.



# Perła teatru w Ostankino

Mirosław Derecki

**D**OBRY kawalek drogi za rzeką Moskwą, w tym rejonie miasta rozciągającym się na południe od Kremla, który z dawnien dawna nosi nazwę Zamoskworieczja, obok Pawleckiego dworca kolejowego, na rogu ulicy Zacepski Wal i Bachruszina mieści się w oryginalnej, secesyjnej willi Państwowe Centralne Muzeum Teatralne imienia Aleksieja Aleksiejewicza Bachruszina. Przeciętny turysta, przebiegający z katalogiem zabytków z dłoni, centrum stolicy Związku Radzieckiego, zagląda tutaj rzadko. A szkoda, bo w dawnym domu Bachruszina, człowieka nierozdzielnie związanego z rosyjskim teatrem, który jeszcze w 1913 roku przekazał państwu swoje unikalne, bezcenne zbiory teatraliów, zgromadzone to wszystko, co świadczy o niezwykle bogatych tradycjach i o wielkości rosyjskiej i radzieckiej sceny.

Tym razem po wejściu do przestronnego hallu skręcam od razu w drzwi na lewo, do tej części ekspozycji, która poświęcona jest dawnym dziejom rosyjskiego teatru.

Za kryształową taflą — portret Aleksieja Bachruszina, a pod nim przedmioty, które cenili, być może, w swoich zbiorach najbardziej: kindżał znaleziony przy ciele martwego Gribojedowa, kunstowna szkatułka ze szminkami i przyborami do charakterystyki należąca niegdyś do znakomitego Leńskiego. Dalej wachlarze ze strusich piór i kości słoniowej, mikroskopijne pantofelki taneczne, lornetki teatralne. Jeszcze dalej białoruska szopka bożonarodzeniowa.

Lecz ja stałem przed wielkim portretem, dla którego tutaj przyszedłem przede wszystkim.

Z ciemnego tła miękkiej, ciężkiej kotary wylania się postać stojącej kobiety. Ubrana jest w białą, drapowaną, empirową suknię z wysoko podpiętym stanem. Z ramion spływa czerwona materia wierzchniego okrycia. Spod złocistego czepka wymykają się kosmyki kunsztownie trefionych ciemnych włosów. Cera delikatna, biała jak alabaster, oczy ciemne, róż na policzkach. U paska kobieta ma wpiętą broszkę z miniaturą mężczyzny. Konterfekt ukochanego męża?

Kto by w tej XVIII-wiecznej piękności tchnącej powagą i dostojnością, w owej budzącej zachwytu współczesnych gwiazdzie teatru w Ostankino, rozpoznał dawną Paraszę Kowalową, córkę prostego, pańszczyźnianego chłopca?

Portret Kowalowej znajduje się w części ekspozycji poświęconej szczególnemu rosyjskiemu fenomenowi artystycznemu — teatrowi pańszczyźnianemu.

Pierwsze wzmianki o teatrach pańszczyźnianych pochodzą już z drugiej połowy XVII wieku. Wraz ze wzrostem zamożności rosyjskiego ziemiaństwa i podnoszeniem się jego kultury teatralnej mającej początkowo charak-

ter przypadkowy, tworzone dla zabawy teatralne przedsięwzięcia zaczynają nabierać coraz większej regularności. Oczywiście najczęściej chodziło „założycielom” takich dworskich teatrów nie tyle o sztukę, co o stworzenie rozrywki dla gości i snobistyczną chęć zapatowania ich czymś oryginalnym.

Z czasem moda na „własny teatr” zaczęła jednak zataczać coraz szersze kręgi. Zespoły teatralne tworzone z pańszczyźnianych chłopów, bo i znajdowali się oni pod ręką i nie trzeba im było płacić. Prym w tego rodzaju życiu teatralnym wiodła Moskwa. Jak pisze A. Morow w wydanej w 1978 r. książce „Tri wieki rosyjskiej sceny” — z której m. in. czerpię tutaj niektóre informacje — ze 173 teatrów pańszczyźnianych istniejących w Rosji w okresie rosyjskiego „złotego wieku” aż 63 działały w Moskwie i w miejscowościach podmoskiewskich.

Nic dziwnego, że w ówczesnych gazetach można znaleźć takie oto ogłoszenia:

„Do sprzedania dziewczyna 16-letnia, służąca. Ma dobry głos, śpiewa w sposób kunsztowny. Powiadamia się niżej miłośnikom teatru, że dziewczyna owa potrafi również grać rolę teatralną. Umie także szyc i gotować smaczne potrawy. O cenę pytać w domu Złobina, obok cerkwi.”

Wśród masy teatrów będących właściwie nimi tylko z nazwy, istniały również teatry z prawdziwego zdarzenia, stojące na wysokim poziomie artystycznym, posiadające własne sale i wyrównany zespół aktorski. Należał do takich właśnie teatr hrabię Woronowa, człowieka bardzo światłego. Woronow zorganizował nawet specjalną szkołę teatralną dla swoich uzdolnionych poddanych, traktował ich w sposób bardzo ludzki, podkreślając, że nie wolno nigdy poniżać godności człowieka. Jego trupa liczyła 85 osób obojga płci, wśród wielu sztuk autorów rosyjskich i zagranicznych miała w swym repertuarze również „Mieszczanina szlachcicem” Moliere. W podmoskiewskiej wsi Archangielskoje działał, stojący na wysokim poziomie, teatr książąt Jusupowów, a w Petersburgu — teatry W. Wsiewołodzkiego i P. Wołkowskiego.

Były też antreprezy bardziej „otwarte”, organizowane przez ziemian również dla zarobku, które dawały płatne przedstawienia wyjeżdżając — jak byśmy dzisiaj powiedzieli — „w teren”. Do takich właśnie należał teatr pańszczyźniany Szachowskiego, którego zespół, składający się z ponad setki osób, dawał „gościnne” przedstawienia w Niżnym Nowgorodzie, grając od września do lipca trzy razy w tygodniu a w czasie jarmarków nawet codziennie.

W odróżnieniu od Woronowa Szachowski karał okrutnie swych aktorów za najdrobniejsze przewinienie, kładąc im rógami lub przykuwając na cały dzień do krzesła. Z kolei hrabia Kamieński z Orła traktował żeńską część swojej trupy teatralnej jako

rodzaj haremu i lubił ponadto osobliwie wymierzać kary cielesne za różne „artystyczne” przewinienia. Przewinieniem był nierządno sposób gry lub interpretacja roli nie po myśli właściciela teatru. Morow zauważa w swej książce, że w owych czasach uważano zresztą takie kary za rzecz zupełnie normalną i podaje przykład, że Katarzyna Joannowna, kuzynka Piotra I, sama bez żenady opowiadała, jak to pewnego razu aktor pańszczyźniany grający rolę króla, po spektaklu otrzymał dwadzieścia batów za „słaby poziom artystyczny”. Mógłby tutaj, zdaje się, mieć wiele do powiedzenia markiz de Sade...

Parasza Kowalowa uniknęła na szczęście takiego losu. Znalazła się w najwybitniejszym z pańszczyźnianych teatrów, założonym przez Szeremietiewów w ich podmoskiewskiej letniej siedzibie, wiosce noszącej nazwę Ostankino. Aby prześledzić historię życia tej wybitnej rosyjskiej aktorki, bardziej zresztą znanej pod swym scenicznym nazwiskiem — Praskowii Iwanowny Zemczugowej, trzeba się teraz przenieść z muzeum im Bachruszina na przeciwległy kraniec Moskwy, do dzielnicy Ostankino zbudowanej na miejscu dawnej wsi, gdzie w zachowanym w nieskazitelnym stanie XVIII-wiecznym pałacu-teatrze Szeremietiewów mieści się dzisiaj „Muzeum sztuki mistrzów pańszczyźnianych”...

W połowie XVIII wieku wioska Ostankino znalazła się w posiadaniu Szeremietiewów. Nowy nabywca był synem feldmarszałka W. R. Szeremietiewa, towarzysza broni cara Piotra I. Jeden z potomków feldmarszałka, Piotr Borysowicz Szeremietiew, człowiek bajecznie bogaty, właściciel stu tysięcy chłopskich „dusz”, wznosił tutaj w latach 1792—1798 rezydencję letnią. Była to jednak rezydencja szczególna, różniła się od innych: na część mieszkalną, stosunkowo niewielką, przeznaczono skrzydła budynku, a główny trzon pałacu zajmowały bogato dekorowane salony i galerie obrazów, przede wszystkim zaś ogromna, mogąca pomieścić 250 widzów sala teatralna wyposażona w najnowocześniejsze w owych czasach urządzenia sceniczne. Piotr Borysowicz urzeczony bowiem został magią teatru i sam założył zespół teatralny złożony z własnych chłopów pańszczyźnianych.

Przy projektowaniu i wznoszeniu pałacu w Ostankino pracowali liczni znani architekci zagranicą: D. Quarrenghi, F. Casie, F. Camporesi. Lecz nie małejszą rolę odegrali przy budowie wykształcenia na architektów i budowniczych, stanowiący „własność” hrabięgo chłopcy: P. Argunow, A. Mironow i G. Dikuszin. Podobnie — twórcą parku pałacowego i „projektantem zieleni” był wykształcony pańszczyźniany chłop, wspomniany już A. Mironow. To właśnie oni swoją niezwykłą, wyniesioną z rosyjskiej prowincji sztuką dokonali, że ogromny, nie tknięty do dzisiaj zębem czasu, „kamienny” pałac w Ostankino, jest w istocie budowlą całkowicie... drewnianą, pokrytą tylko tynkiem! Będąc budowlą niezwykłą ze względu na swoje przeznaczenie, jest pałac w Ostankino zarazem fenomenalnym pomnikiem osiągnięć budownictwa drewnianego. Dlatego dzisiaj nazwę muzeum podawaną w przewodnikach, należy rozumieć szerzej: to sam pałac w Ostankino jest przede wszystkim głównym eksponatem sztuki mistrzów pańszczyźnianych!

Ale przecież nie tylko strona techniczna świadczyła o wysokim poziomie tego teatru. Świadczył o nim przede wszystkim 170-osobowy zespół, stworzony przez syna założyciela, wykształconego poza granicami Rosji, Mikołaja Piotrowicza Szeremietiewa.

„Uwieczony” — jak by powiedzieli Rosjanie — teatrem bez reszty, wyprowadził Mikołaj Szeremietiew swój zespół na wyżyny sztuki teatralnej. Na repertuar teatru składało się 116 dramatów, oper i baletów. Niemal każda zagraniczna wartościowa nowinka teatralna znajdowała odbicie na scenie.

I tutaj najwybitniejsze osiągnięcia — podobnie jak przy budowie pałacu — przypadły w udziale pańszczyźnianym chłopom: chórem dyrygował Gawriła Lomakin, dyrygentem był utalentowany muzyk Szepean Diegtiarow, lutnikiem wyrabiającym instrumenty dla zespołu — Iwan Batow, nazywany następnie ze względu na swoje mistrzostwo „rosyjskim Stradivariusem”. Przy teatrze istniała szkoła teatralna, w której wykładali wybitni mistrzowie rosyjskiej sceny zawodowej.

Podchodzę do stojących na sztalugach w głębi sceny dwóch kobiecych portretów. Jeden z nich przedstawia Tatianę Wasiliewnę Szłykową. Pierwsza balerina szeremietiewskiego teatru, córka pańszczyźnianego rusznikarza, w ciągu 15 lat nie miała sobie równej. Współcześni — jak informuje umieszczona obok tablica — podkreślali jej grację, technikę tańca a także wyrazistą grę aktorską. Rozstała się z teatrem w Ostankino w 1803 r., gdy tuższej trupa aktorska została rozwiązana. Uzyskała wówczas wolność. Zmarła w sześćdziesiąt lat później dożywszy dziewięćdziesiątki.

Mnie jednak fascynuje drugi portret kobiety. Znajoma twarz z obrazu w muzeum imienia Bachruszina Praskowia Iwanowna Kowalowa alias Zemczugowa. „Zemczug” to po rosyjsku „perła”. Była Zemczugowa, istotnie, prawdziwą perłą tułuskiego teatru i sztuka jej błyszczy wśród najszlachetniejszych klejnotów teatru rosyjskiego.

Córka pańszczyźnianego kowala, zdradzająca od wczesnego dzieciństwa wybitne zdolności aktorskie, wystąpiła po raz pierwszy na scenie już w jedenastym roku życia. Mając trzynaście lat śpiewała już pierwszą partię w operze. Dysponowała silnym lirycznym sopranem o bardzo szerokim diapazone. W jej repertuarze znajdowały się przede wszystkim partie z komicznych oper francuskich i włoskich. Szczególnym jej osiągnięciem artystycznym była rola Eliany w operze „Stuby samnickie”.

Zemczugowa pobierała lekcje śpiewu u wybitnej ówczesnej śpiewaczki E. Sandunowej, sztuki dramatycznej uczyła ją znakomita aktorka M. Siniawska, muzyki — nadworny harfista Cordon. Miała znaczne — jak na ówczesną kobietę — wykształcenie ogólne, wadała obcymi językami. Na jej wdzięki nie pozostał obojętny sam Mikołaj Piotrowicz Szeremietiew: w 1801 r. wziął z nią ślub. Dawna Parasza Kowalowa została w ten sposób hrabiną Szeremietiewa. Na owe czasy była to rzecz niesłychana. Toteż Szeremietiew nie chwalił się specjalnie zalegalizowanym związkiem z ukochaną kobietą, lub sugerował, że pochodzi ona z polskiej szlachty.

Jako hrabina Szeremietiewa Zemczugowa nie żyła długo. Zmarła w 1803 roku i z tego zapewne powodu jej mąż rozwiązał ostankiński zespół teatralny. W tym samym roku Mikołaj Szeremietiew wznosił na część żony pomnik — nową cerkiew na dziedzińcu swego pałacu stojącego w Moskwie przy dzisiejszym Placu Kołchofowym, niedaleko ulicy Dzierżyńskiego. Kto chce tam trafić niech pyta o znajdujący się dzisiaj w dawnym moskiewskim pałacu Szeremietiewów Instytut Posostowa Ratunkowego imienia Stiefosowskiego. Zaś imię Praskowii Iwanowny Zemczugowej nosi dzisiaj bulwar w jednej z nowych dzielnic stolicy Związku Radzieckiego.

## PRASA LUBELSKA PISAŁA

Przed 75 laty

\* Do ministerium skarbu wniesiono pismo o wniesienie rozrządzeń przepisów ograniczających sprzedaż piwa.

Ministerium skarbu przede wszystkim zwróciło się do rady lekarskiej o wypowiedzenie zdania o piwie, jako napoju wyskokowym, wpływie na jego organizm ludzki.

Na to odpowiedziała rada lekarska co następuje: upitanie się piwem zarówno jak i wódka sprawia poważne zaburzenia w fizycznym i umysłowym ustroju człowieka, z tą jedynie różnicą, że w pierwszym przypadku zaburzenia występują wolniej. Zazwyczaj stałe piwo pomniejsza jego znaczenie dietetyczne uważać należy za mniej szkodliwy i niebezpieczny napój alkoholowy, który może zwycięsko zwalczać zębne wpływy wódki wśród ludzi. Mocne gatunki piwa włącznie z portem jako zdolne uspokoić człowieka przy spożyciu niewielkich dawek, powinny być uważane za mocne alkoholiczne napoje.

\* W celu uchronienia ludności włościańskiej od konieczności sprzedawania zboża poniżej jego wartości, w ministerium komunikacji rozważany jest

projekt urządzenia całej sieci małych składów zbożowych, które udzielałyby pożyczek na zboże. Dowożone na stacje kolejowe ładunki zbożowe, niewysyłane w ciągu dni siedmiu lub nie przyjęte przez odbiorców w ciągu tego czasu, postanowiono ubezpieczyć od ognia na koszt właścicieli ładunków. W oczekiwaniu na dostawę do stacji kolejowych zboża, dowożonego na wozach i w wagonach luzem, z rozporządzenia ministra komunikacji, wszystkie stacje kolejowe zaopatrzone winny być w dostateczną ilość worków.

„Gazeta Lubelska”

Przed 50 laty

\* Wydział oświaty i kultury magistratu miasta Lublina podaje do wiadomości, iż wzorem lat ubiegłych, urzędu 4-ro miesięczne kursy dla robotników budowlanych.

Ukończenie kursów budowlanych umożliwia dopuszczenie do egzaminów czeladniczych i mistrzowskich przy zbie

Rzemieślniczej, a nadto na podstawie złożenia egzaminów czeladniczych i mistrzowskich w myśl § 143 Ustawy przemysłowej, upoważnia do otrzymania karty rzemieślniczej, która daje prawo do samodzielnego prowadzenia robót.

\* Na podstawie rozporządzenia ministra skarbu z dnia 25 października r. o utworzeniu urzędu opłat stemplowych w Lublinie w okręgu administracyjnym izby skarbowej w Lublinie i zakresu działania urzędów skarbowych podatków i opłat skarbowych Lublin — miasto I, Lublin — miasto II i Lublin — powiat, wyłączone zostały sprawy opłat stemplowych oraz podatku spadkowego od darowizn i dla spraw tych zostały utworzone osobny urząd Opłat Skarbowych z siedzibą w Lublinie o terytorialnym zakresie działania obejmującym miasto Lublin oraz powiat lubelski.

„Głos Lubelski”

Wybrała Anna Orzechowska



**4** PAŹDZIERNIKA 1979 roku otwarto dla publiczności Muzeum Wsi Lubelskiej na Sławinku, a właściwie jego fragment, przedstawiający kilka zagrod, wiatrak „holender”, kuźnię i olejarnię z terenu Wyżyny Lubelskiej. Przez pierwsze 12 dni ekspozycję obejrzało 5300 osób, a więc bardzo dużo, reprezentując — jeśli można zaufać oczom i uszom — różne środowiska społeczne. Bywały dni, że kolejka do kasy sięgała 50 metrów. W obiektach muzealnych zwiedzający znaleźli przedmioty codziennego użytku, symbole kultury i elementy dekoracyjne, urządzenia przemysłowe, dwa konie, krowy, sporo owieczek, psa w budzie, okazałe gęsi oraz ogień w paleniskach kuchennych, podsycany cierpliwie przez panie, ale nie ze względów ludycznych czy dla „atmosferki” sielsko-zbożowej, lecz dla ochrony chałup przed wilgocią i pleśnią. Natomiast otoczenie drewnianych budowli dostarczało lekcji agrotechnicznej, informując ludzi, co też takiego uprawia się na wsi i jak może wyglądać ogródek przydomowy, jesienno naturalnie. Skansen świecił co prawdą nowymi strzechami i takimi belkami, którymi zastąpiono spróchniałe, ale blokowo w okólnikach, pewien nieład codzienny w komorach, izbie garniarza czy wiatraku łamały klasyczną konwencję muzealną, sugerując zarazem, że obcuje się oto z dość wierną rekonstrukcją wiejskiego życia, wypełnionego niemal po brzegi ciężką robotą. Nie był to zresztą efekt przypadkowy.

„Celem muzeum na Sławinku — przeczytać mogli zwiedzający w inauguracyjnym informatorze sporządzonym pod redakcją Mieczysława Kurzątkowskiego, głównego specjalisty MWL — jest pokazanie życia na obszarze między Wisłą i Bugiem, od Niziny Mazowieckiej na północy po Roztocze na południu. Jako placówka typu skansenowskiego gromadzi nie tylko takie eksponaty, jakie zobaczyć można w innych muzeach etnograficznych. Przenosi na swój teren autentyczne budynki wiejskie i pokazuje sprzęty, narzędzia oraz przedmioty codziennego i odświętnego użytku tam, gdzie było ich miejsce w chłopskim mieszkaniu i gospodarstwie”.

Oczywiście, skansen lubelski to przestrzeń malownicza i pełna takiego uroku, jaki wyzwalały rzeczy dawne, przynależne do niegdyśszego świata, w którym człowiek brał się jeszcze z naturą na rękę, nie korzystając z pomocy skomplikowanych maszyn. Ale treścią swojego rozległego programu muzeum na Sławinku przekracza próg owej stylizacji wspomnień, stając się źródłem rzetelnej informacji o życiu wsi lubelskiej od początku naszego wieku do roku 1950 (po zrealizowaniu całego przedsięwzięcia) oraz czymś w rodzaju polemiki z telewizyjno-cepeliowskim stereotypem ludowości, mocno zakorzenionym w masowej wyobraźni. Stereotyp ten składa się ze słomy, drewna, barwy i pohukiwań, obtoczonych w furnej wesołości, a wywodzi się chyba jeszcze z okresu Młodej Polski, kiedy to chłop potęgą był i basty — przynajmniej w oczach cyganerii, raczej wąskiej w ramionach. Rekwizytoria tego rodzaju okazuje się przy tym dobra na każdą okazję. Stylizowane emblematy kultury ludowej zdobią dziś kiermasze wyrobów piekarniczych i skórzanych, drogie zajazdy i tanie gospody, bale i potańcówki, instytucje i mieszkania prywatne. Rzecz jasna, jest to taniocza plastyczna, tak odległa od sensu i funkcji oryginałów, jak szacunek od lekceważenia.

Swobodne manipulowanie znakami tradycji ludowej porównane ze sposobem publicznego eksponowania innego elementu naszej kultury także związane ze wsią, ujawnia zarazem całkiem ciekawe kompleksy społeczeństwa po rewolucji ustrojowej i na dorobku. Oto w reportażach telewizyjnych i fotograficznych chałupa wiejska jawi się jako część scenografii do wolnego wydarzenia lub wdzięczny „cukierek”, natomiast dwór szlachecki pokazywany jest z nabożeństwem, w ujęciach symbolicznych i gloryfikujących.

„A przecież — mówi Ryszard Królikowski, dyrektor MWL — po-

winno nam zależeć na tym, aby z jednej strony nie doprowadzić do ludomani, z drugiej zaś — chronić kulturę ludową przed parodiowaniem i wulgaryzacją. Rozwiązanie tego problemu widzę w realistycznym przedstawieniu wsi i jej kultury. Wykluczam na przykład ulokowanie w skansenie kowala, który robiłby to i owo na pokaz, biorąc udział w jakiejś fałszywej inscenizacji. Wielu widzom podobałoby się pewnie taka zabawa „w autentyk”, ale jestem przekonany, że oklaskiwaliby przede wszystkim egzotykę sytuacji, zapominając zupełnie o trudzie tego człowieka”.

Wznoszenie Muzeum Wsi Lubelskiej rozpoczęło w 1976 roku. Udo-

to w perspektywie kilku najbliższych lat problem ten musi znaleźć swoje metodologiczne i praktyczne rozwiązanie — nie tylko w skali lubelskiej.

Po trzecie: zgodnie z regulami obowiązującymi w muzealnictwie placówka lubelska mogłaby wyprzedzić z pola swojej uwagi te kwestie, które kształtują współczesne procesy cywilizacyjne i kulturowe na wsi. Tymczasem na Sławinku już teraz próbuje się znaleźć drogę do współczesności. Ze wszystkich gmin województwa wybrano na przykład 700 osób, które posiadając wykształcenie rolnicze, pracują i mieszkają na wsi. Około sześciu procent tej grupy to

zgodnie z tradycją, obowiązuje znaczna liczba gości przy stole. Tylko starsze pokolenie pamięta, że gdzieś dwadzieścia lat temu potrawy weselne spożywało się w zasadzie przy pomocy widełka i łyżki — jeden nóż przypadał na kilka osób. Zdarzało się, że takim samym unikatem był kieliszek, krążący z ręki do ręki... Wiedź traci swoistość przestrzennego wyrazu, pewną odrębność zachowując tylko w sferze zdobnictwa, czego przykładem loggie wykładane lusterkami i kolorową stłuczką szklaną oraz płoty i bramy wykonywane z drutów zbrojeniowych, co oczywiście należy dokumentować np. przy pomocy fotografii. Ogólnie rzecz biorąc — twierdzi R. Królikowski — za jakieś 15 lat znikną różnice w standardzie materialnym wsi i miasta, a tym samym zmieni się teren obserwacji muzeów skansenowskich, które zajmą się, być może, kwestią innowacji technicznych, wprowadzanych przez rolników w seryjne urządzenia przemysłowe, oraz nowym modelem życia na wsi, profilowanym np. przez zwiększenie czasu wolnego od pracy.

O tym, że problem jest nowy i otwarty, świadczy nieco odmienne zdanie Mieczysława Kurzątkowskiego, który biorąc pod uwagę specyfikę pracy na roli, dostrzega pewne możliwości zachowania przez wieś odrębności przestrzenno-budowlanej, dyktowanej przez funkcje gospodarcze. Rolnicy dość często dostosowują typowe projekty budynków do własnych potrzeb, ten sam model inaczej jest ostatecznie realizowany na wsi i w mieście. Natomiast względy kulturowe, upodobania estetyczne mieszkańców wsi decydują o selektywnym przemianowaniu przez nich wzorów ubrań, oferowanych przez handel, czy też elementów dekoracyjnych do mieszkań.

Nie zajmując stanowiska wobec tych opinii, wypada stwierdzić jedno: że sam fakt postawienia cytowanych problemów, czemu towarzyszą zresztą konkretne działania, jest czymś niesłychanie ważnym. Chodziłoby tu przede wszystkim o otwarty stosunek naszego muzeum do współczesności, a więc o coś, co jest właściwie nieobecne w praktyce pokrewnych instytucji. Owszem, w latach sześćdziesiątych Ministerstwo Kultury i Sztuki zaleciło podległym sobie placówkom muzealnym dokumentowanie różnych procesów dnia dzisiejszego, gromadzenie odpowiednich eksponatów itp., ale sugestie tę zrealizowano w sposób ograniczony, zwracając uwagę przede wszystkim na zjawiska z zakresu historii najnowszej, takie jak ruchy rewolucyjne, lata wojny i okupacji, kształtowanie się władzy ludowej. Ostatecznie sprawa ucichła, nie dorobiwszy się własnej metodologii i zasad selekcji materiału.

Ciekawe: obecnie podejmuje ją instytucja nowa, in statu nascendi, związana z kulturą wsi, którą zamierza śledzić na bieżąco, a więc skutecznie w sensie dokumentacyjnym, prowadząc np. archiwum współczesnej literatury ludowej i wspomniane badania socjologiczne. Ciekawe? Chyba normalne, jako że nie tak nie zaostrza widzenia rzeczywistości, jak zdjęcie okularów rutyny i dobre zapamiętanie o dyscyplinarnych (etnograficznych) dogmatach.

Muzeum Wsi Lubelskiej inicjuje dyskusję ważną: nad ustaleniem generalnych celów całego muzealnictwa skansenowego, obszarem problemowym i granicami jego chronologii, co bez kokieterii można uznać za tak cenne społecznie, jak posadzenie zagrod i wiatraków na Sławinku. Zwróćmy jednak uwagę: więcej w tej inicjacji pytań, domniemań i wątpliwości, niż twierdzeń podlegających naukowej weryfikacji, więcej impresji niż teorii. Ale czy może być inaczej w sytuacji pewnej jednostronności polskiego muzealnictwa skansenowego, które dorabiając się ciągle nowych placówek, rodzi rzeczy malownicze, wdzięczne, a nawet pouczające, tyle, że zamknięte w niegdysiejszej formule etnograficznej, jeśli przekraczane, to na ogół w kierunku wesołutkiego folkloryzmu?

# Traktor w skansenie?

Ireneusz J. Kamiński



Fot. Waldemar Stępień

stopnienie całego skansenu nastąpi w 1985 roku, kiedy to na powierzchni 25 ha stanie ponad 100 budynków, wraz z wyposażeniem charakteryzującym kulturę materialną, społeczną i artystyczną kilku regionów. Już jednak teraz w praktyce i przyszłościowych zamierzeniach instytucji dostrzec można kilka momentów naruszających dotychczasowy model placówek tego rodzaju lub kreujących nowe problemy.

Po pierwsze: w Lublinie wyraźnie rozluźniono związki z etnografią jako koordynatorką przedsięwzięcia, o czym świadczy przesunięcie górnej granicy chronologicznej sławinkowych ekspozycji na rok 1950, drażniące zapewne klasyków owej nauki, oraz zaanektowanie przez muzeum różnorodnej problematyki życia wsi, której zakres w prosty sposób ilustruje zamiar ulokowania w WML budynków szkoły, gminy, karczmy i rezerwy strażackiej.

Po drugie: chęć przedstawienia kulturowych i społecznych następstw procesu dekapitalizacji wsi po drugiej wojnie światowej, a właściwie jego początku, zmusza muzeum do odpowiedzi na pytanie: jakimi eksponatami wyartykułować ten okres? Czy na przykład wprowadzić do zagrody ówczesny model „Ursusa” (zwany „kolozakiem”) i motocykla FWM, skoro istnieją w kraju specjalistyczne muzea rolnictwa czy techniki? Jeśli nie dziś,

ludzie z dyplomami wyższych uczelni, niemal 40 procent ukończyło średnie szkoły rolnicze, pozostali mają za sobą szkoły zawodowe. Jest to więc „próbka” środowiska, które będzie miało istotny wpływ na przyszły kształt społeczno-ekonomiczny i kulturowy wsi lubelskiej. Jego życie codzienne, postawy, upodobania estetyczne i ogólniejsze aspiracje są właśnie przedmiotem badań socjologicznych muzeum, prowadzonych w ramach pracy doktorskiej, a nie osobnej pracowni, albowiem na coś takiego, rozbudowanego organizacyjnie, instytucja nasza nie może sobie jeszcze pozwolić.

Dyrektor Ryszard Królikowski jest jednak przekonany, że w przyszłości proporcje działalności muzealnictwa skansenowskiego ulegną zmianie: na korzyść badań naukowych, skoncentrowanych na kulturze duchowej i po części społecznej wsi, na zjawiskach płynnych, zmiennych, przemijających. Od dłuższego już czasu na wsi wznosi się typowe murowańce, według projektów zaczerpniętych z katalogów, z których korzysta także miasto. We wnętrzach domów mieszkalnych znajdują się meble zamojskie albo jugosłowiańskie, telewizory, pralki, radiodiodionki hi-fi, reprodukcje „Stoneczników” van Gogha. Miejski model życia przejawia się także w sposobie ubierania, w scenariuszu i oprawie biesiad weselnych, choć nadal,



## Wychodzenie na szerokie wody

**B**RZMI to paradoksalnie, ale Lubelskie Forum Filmowe „Człowiek — Praca — Twórczość” zaczęło nabierać szerokiego oddechu z chwilą, gdy zrezygnowało z „międzynarodowych” ambicji, a zwróciło się ku polskiej rzeczywistości filmowej i nurtujących nasze młode kino problemom.

Szóstka już z kolei Forum — impreza, która powstała z inicjatywy robotniczej młodzieży ze Swidnika, poddała szerokiej ocenie i dyskusji widzów dziewięć najnowszych polskich filmów fabularnych mieszczących się w formule krótkometrażowych, dokumentalnych. Ponadto pokazano filmy krótkometrażowe Koła Młodych przy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich oraz etudy filmowe studentów Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej. Nie wchodziły one jednak w zakres plebiscytu widzów. Tak samo, jak dziewięć fabularnych filmów przeglądu międzynarodowego z amerykańskimi „Niebieskimi kołnierzykami” Paula Schradera na czele. Tak więc zachowano tradycje Forum: przegląd międzynarodowy utrzymano, choć przesunięty został on do czegoś w rodzaju „imprezy uzupełniającej”.

Wydać się, że tak nakreślony profil największej lubelskiej imprezy filmowej jest najszcześniejszy. I że znaleziono wreszcie właściwą formułę Forum.

Ci, którzy od sześciu lat towarzyszą Lubelskiemu Forum Filmowemu i pamiętają wszystkie jego lepsze i gorsze chwile, zgodzą się chyba ze stwierdzeniem, że ciąglą bolączką repertuarową był przede wszystkim bardzo niewyrównany poziom artystyczny prezentowanych filmów. Niektóre z nich sprawiły wrażenie upychanych na siłę w przeglądowym zestawie, ponieważ mieściły się w formule: „Człowiek — Praca — Twórczość” lub... ponieważ jedynie te właśnie filmy zagraniczne były w danym momencie osiągalne dla organizatorów. Powstawały później ogromne rozbieżności, w sensie poziomu artystycznego, pomiędzy taką np. „Premierą” Mikaeliana czy „Ziemią obiecana” Wajdy, a pozostałą resztą.

W tym roku na ekrany kin w Kraśniku, Lubartowie, Puławach i Swidniku (gdzie odbywały się przeglądy plebiscytowe w dniach 8—18 listopada) oraz na ekrany kin Lublina, który od 19 do 22 listopada gościł „centralną” i „podsumowującą” część Forum, wpłynęły falg dzieła polskich twórców, wchodzących w większości w skład polskiego „młodego kina” czy też — jak je określają inni — „kina moralnego niepokoju”. Zobaczyliśmy „Aktorów prowincjonalnych” Agnieszki Holland, „Amatora” Krzysztofa Kieślowskiego, „Bilet powrotny” Ewy i Czesława Petelskich, „Hotel klasy Lux” Ryszarda Bera, „Kung Fu” Janusza Kijowskiego, „Szansę” Feliksa Falka, „Wolne chwile” Andrzeja Barańskiego, „Wysokie loty” Ryszarda Filipskiego i „Zerwane cumy” Sylwestra Szyski. Ta fala filmowa nie była wprawdzie idealnie spójna — ze względu choćby na pewne „pęknięcia wiekowe” (Petelscy, Ber czy Filipski to już jednak inne pokolenie niż Kieślowski, Kijowski, Holland czy Falk) czy

różną dia poszczególnych reżyserów optykę spojrzenia. Łączyło jednak te filmy zaangażowanie w problemy naszej polskiej współczesności, w rzeczywistość dziejącą się wokół nas, a w sensie formalnym: gorący ton publicystyczny nie pozwalający widzowi na bierne tylko oglądanie przedstawianych na ekranie problemów. Podobnie — jeśli chodzi o filmy dokumentalne, chociaż tutaj obserwowano się większy niż w „fabule” rozrzut tematyczny.

Młode polskie kino, które tak bardzo wyraźnie dało znać o swoim istnieniu na wrześniowym festiwalu filmów fabularnych w Gdańsku, i które zresztą określiło tegoroczny gdański festiwal, dokonało w Lublinie pierwszej konfrontacji z masową publicznością.

I ta konfrontacja wywołała bardzo silny oddźwięk. Przedstawione filmy spotkały się z ogromnym zainteresowaniem publiczności, niezależnie od tego, które z nich budziły sprzeciw widzów i dyskusjantów, a które — pełną akceptację. Żeby to zainteresowanie w pełni ocenić, trzeba było prześledzić nie tylko „centralne” projekcje w Lubelskim Domu Kultury, gdzie od kilku lat mieści się główna kwatery Forum i nie ograniczyć się tylko do obserwowania mniej lub bardziej żarliwie toczących się tam dyskusji problemowych, ale należało uczestniczyć w spotkaniach bardziej „peryferyjnych” — tych właśnie najważniejszych — w ośrodkach pozalubelskich czy też w lubelskich klubach i kinach. W kinie „Kosmos” na przykład na „Kung Fu” ośmiusetosobowa widownia zapełniona była do ostatniego miejsca przez widzów, którzy nie byli „organizowani”. Wykupili oni stojąc normalnie, w kolejce przed kasą bilety, po projekcji zgotowali reżyserowi Januszowi Kijowskiemu i występującemu w filmie Danielowi Olbrychskiemu gorącą, długotrwałą owację.

Bardzo dobrym i słusznym pomysłem było zaproszenie przez or-

ganizatorów członków Koła Młodych SFP oraz studentów Szkoły Filmowej do udziału w Forum. Błędem natomiast — co zresztą daje się również zauważyć na czerwcowym Lubelskim Lećcie Filmowym w Lagowie — umiejscowienie projekcji filmów najmłodszych twórców na samym końcu codziennych przeglądów, o godzinie 22-ej, co w praktyce, przy przeciągających się dyskusjach między poprzednio wyświetlanymi filmami, powodowało przesunięcie pokazów o dwie, trzy godziny. Wtedy już tylko bardzo nieliczni i bardzo wytrwali widzowie mieli siłę pozostać na sali. Pokazy te powinno się chyba w przyszłym roku przesunąć po prostu na godziny przedpołudniowe i w ten sposób dać możliwość zainteresowanemu obejrzenia filmów młodych reżyserów. Zwracam uwagę i podkreślam mocno potrzebę związania lubelskiego Forum z dokonaniem i próbami artystycznymi młodych filmowców, którzy za pośrednictwem lubelskiej imprezy mogliby uzyskać doroczny kontakt z szeroką publicznością. Warto by też było pomyśleć o pokazywaniu ich filmów i etud również w ośrodkach pozalubelskich a nie tylko — w Lubelskim Domu Kultury.

W plebiscybie publiczności tegorocznego Forum pierwsze miejsce zajął film Janusza Kijowskiego „Kung Fu”, któremu, nawiasem mówiąc, przyznaliśmy w Gdańsku nagrodę dziennikarzy, a w kategorii filmów dokumentalnych — „Aktorka” Grzegorza Skurskiego o Krystynie Jandzie. Co odnotowuję z tym większą satysfakcją, że wysoko cenię osobowość, talent i pracowitość tej artystki.

Kończąc: szóstka z kolei, ale pierwsze „krajowe” lubelskie Forum Filmowe „Człowiek — Praca — Twórczość” było w sumie imprezą udaną i rysującą się ciekawie na przyszłość.

M. D.

## KRONIKA KULTURALNA

● Piórtora tysięcy imprez obejranych i wysłuchanych przez ponad pół miliona osób — oto najkrótszy i statystyczny bilans jednego tylko roku (1978) z 30-letniej działalności lubelskiej „Estrady”, kierowanej od dawna i z inwencją przez Wiesława Kryńskiego. Instytucja miała swoje lata chude, to prawda, ale większość jej propozycji chwaliła się wysokim poziomem, czego pierwszym z brzegu przykładem „Prezentacje”, organizowane już od lat 14(!) i cieszące się nieustannym wzięciem u publiczności. Dodajmy, że pod patronatem naszej jubiilatki rozwinęła się niejedna indywidualność polskiej estrady. Serdecznie gratulujemy!

★

● Kilkadziesiąt osób z różnych miast kraju zjechało na uroczystości 75-lecia Teatru Ziemi Chełmskiej, kierowanego dziś przez Czesława Dopierańskiego. Zasłużonej scenie życzymy ciągłej pełnej widowni. (Obszerniej o teatrze napiszemy w następnym numerze „Kamena”).

★

● 30 lat twórczej działalności skończył natomiast Puławski Teatr Amatorów, prowadzony przez Mariana Wolskiego. W różnorodnym repertuarze tej sceny poza utworami dramatycznymi znajdowały się widowiska plenerowe, kabaret literacki, przedstawienia lalkowe i pozycje o charakterze teatru poezji. Na jubileusz PTA przygotował „Emigrantów” Mroźka, sztukę „Jutro pogoda” Hopwooda i monodram „Pamięć” — opracowany i wykonany przez M. Wolskiego. Nasze gratulacje.

★

● „Pomoc dzieciom w okresie okupacji” to nazwa sesji naukowej, która odbyła się 16 listopada na Majdanku. Wygłoszono kilka referatów i komunikatów o znacznej wartości poznawczej. Dzień później rozpoczęły się w Lublinie obrady XIII krajowego zjazdu przedstawicieli Towarzystwa Opieki nad Majdankiem.

★

● Od 29 do 30 listopada odbywały się imprezy — wystawy, spotkania autorskie, konkursy, kiermasze — „Dekady Książki Społeczno-Politycznej”, związane tematycznie z 35 rocznicą powstania PRL, 40-leciem wybuchu II wojny światowej i Międzynarodowym Rokiem Dziecka. „Dekadę” zainaugurowano w obszernych i ładnych pomieszczeniach filii Biblioteki Wojewódzkiej im. H. Łopacińskiego, znajdującej się w osiedlu im. Sienkiewicza LSM.

★

● Melomani lubelscy nie mogą narzekać na brak atrakcyjnych koncertów, organizowanych przez naszą filharmonię, ale ten, który odbył się 18 listopada, dostarczył szczególnej satysfakcji. Powiedzmy krótko: tego dnia wystąpił w Lublinie Sławosław Richter!

★

● Wystawy malarstwa, filmy dla dzieci, ekspozycje informacyjne, koncerty estradowe i filharmoniczne (kameralne) — to główne imprezy „Panoramy kultury czechosłowackiej”, zorganizowanej w Białej Podlaskiej dzięki współpracy władz miejscowych z Ośrodkiem Kultury Czechosłowackiej w Warszawie.

★

● Oddział lubelski Towarzystwa Opieki nad Zabytkami należy do najbardziej aktywnych instytucji tego rodzaju w Polsce. Informując o tym przypominamy instytucjom i przedsiębiorstwom o możliwości przystąpienia do towarzystwa na zasadzie członka wspierającego (szczegóły pod nr. tel. 290-35). Jak dotąd, na liście takich sojuszników znajduje się siedem kół, oddziałów i zarządów PTTK, lubelskie PKZ, Muzeum Kazimierza Dolnego oraz Wschodnia Dyrekcja PKP w Lublinie.

★

● Urodził się w 1938 roku, skończył krakowską ASP, wykłada w poznańskiej PWSSP, uprawia malarstwo, rzeźbę i grafikę, należy do znanej grupy „Wprost” — Jacek Waltoś. Jego wystawa w lubelskim BWA wzbudziła szerokie zainteresowanie publiczności, szczególnie studenckie.

★

● W mniejszej sali BWA czynna była wystawa małych form rzeźbiarskich artystów austriackich, które trafiły do Lublina via muzeum sztuki w duńskim Aalborgu. Bez sensacji.

★

● Stefan Pleśniarowicz ze Szczecina otrzymał i nagrodę w ogólnopolskim konkursie fotograficznym, zorganizowanym przez Krajową Agencję Wydawniczą dla swych fotoreporterów, a tematycznie związanym z województwem lubelskim w 35-lecie Polski Ludowej. Nagrodzony cykl zawierał zdjęcia z Bogdanki. Wystawę pokonkursową otwarto 22 listopada w WDK.

★

● Po roboczym pobycie lubelskich archeologów we Francji zarysowały się możliwości współpracy między ośrodkami w Lyonie i naszym mieście (UMCS).

## „RODZINA POLSKA”

### Konkurs na reportaż

**W** MARCU 1980 r. „Sztandar Ludu” będzie obchodził 35-lecie. Z tej okazji redakcja — przy współudziale Lubelskiego Towarzystwa Przyjaciół Prasy, Radia i Telewizji oraz Wydawnictwa Lubelskiego — ogłasza konkurs na reportaż pod hasłem „RODZINA POLSKA”.

Jaka jest współczesna polska rodzina, jakie są warunki jej życia i pracy w mieście i na wsi, jakie są jej dążenia i potrzeby, jak realizuje swoje funkcje związane z wychowaniem młodych pokoleń oto zasadnicze pytania, wokół których pragnie się skoncentrować problematykę konkursu. Jego podstawowy cel w zamyśle organizatorów sprowadza się do ukazania szerokiej panoramy problemów dotyczących roli i miejsca rodziny w socjalistycznym społeczeństwie.

Organizatorom zależy w szczególności na podjęciu następujących zagadnień:

- polityka partii i państwa zmierzającej do stałego umacniania rangi rodziny i poprawy jej sytuacji w sferze zaspokojenia potrzeb materialnych, kulturalnych, zdrowotnych, rekreacyjnych;
- opieki prawnej i socjalnej nad rodziną, matką i dzieckiem;
- problemów przyrostu naturalnego oraz młodych małżeństw;
- macierzyństwa i wychowania;
- aktywizacji zawodowej i społecznej kobiet;
- dziejów współczesnych polskich rodzin, zwłaszcza wielopokoleniowych, ich awansu;
- wylaniających się nowych potrzeb i zadań, które wiążą się z troską o dalszą poprawę szeroko rozumianych warunków życia i pracy polskich rodzin.

Termin nadsyłania prac — nigdzie przedtem nie publikowanych — o objętości nie przekraczającej 1 arkusza autorskiego, mija z końcem lutego 1980 r. Prace w trzech egzemplarzach należy przesyłać do redakcji „Sztandaru Ludu”, 20-950 Lublin, Al. Racławickie 1, gdzie mieści się sekretariat konkursu. Prace winny być sygnowane godłem, a w składzonej kopercie sygnowanej identycznym godłem autorzy winni podać imię i nazwisko oraz dokładny adres.

Przewiduje się przyznanie następujących nagród:

I —	15000 zł
dwu II —	po 12000 zł
trzech III —	po 10000 zł
pięciu wyróżnień —	po 5000 zł
dziesięciu wyróżnień —	po 3000 zł

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo podziału ogólnej sumy przeznaczonej na nagrody.

Przewiduje się przyznanie wadiów. Warunkiem otrzymania wadium jest pisemne zgłoszenie udziału w konkursie (sekretariat konkursu „Rodzina Polska”, redakcja „Sztandaru Ludu”, 20-950 Lublin, Al. Racławickie 1) z podaniem imienia, nazwiska, adresu macierzystej redakcji oraz ogólnego określenia problematyki planowanego reportażu.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo druku wybranych reportaży na łamach „Sztandaru Ludu”. Będą one honorowane odrębnie, według ogólnie przyjętych stawek.

Organizatorzy przewidują wydanie wybranych prac konkursowych w formie książkowej. Autorzy prac drukowanych otrzymają honoraria zgodne z zasadami prawa autorskiego.

Skład jury zostanie podany do wiadomości w terminie późniejszym.



# KRZYŻÓWKA

(nr 25)

Poziomo: 1. główny port Kenii, 5. wielki polski aktor, patron lubelskiego teatru, 9. paryski ulicznik, 10. drugie miasto Litewskiej SRR, 11. bogini mądrości, 13. ryba słodkowodna, 15. klimat, 16. kobiety w orkeszeniu Zagłoby, 18. tegoroczny laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, 20. imię Słonimskiego, 22. przyjaciel Mickiewicza, 23. zona Kronosa, 24. Gall Anonim, 25. amarynska ryba, 27. część gry w siatkówkę, 29. amerykański step, 31. araukaria, 32. hinduski bog pasterzy, jedno z wcieleń Wisnu, 33. była w 13 i 25 poziomo, 35. zdobył ziemie słowiańskie po Odrę, 36. liść z kolumby, 38. maślanka madagaskarska, 39. u Zegadłowicza z kart, 40. hiszpański zamek, 41. forma zewnętrzna.

Pionowo: 1. sos z oliwy i żółtka, 2. uzbrojenie, 3. port i kawa brazylijska, 4. wulkan, najwyższy szczyt na Filipinach, 5. kąśliwy owad, 6. kojarzy się z kulturą, 7. wulkan na Sycylii, 8. park w Nieborowie, 10. miasto wojewódzkie, 12. twórca, 14. bardzo krótki utwór poety, 16. ciasto z miodem, 17. podstępne działanie, 19. zbliżony do błękitu, 21. pustynia z miastem Eljat, 25. jej kształt ma sprężyna, 26. lody z owocami, 27. myli się tylko raz, 28. siedzenie bez oparcia, 30. dawna dzierzawa, 31. studencki dowód, 34. stolica Ghany, 35. nie podlega dyskusji, 37. szyny, 38. medykament.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

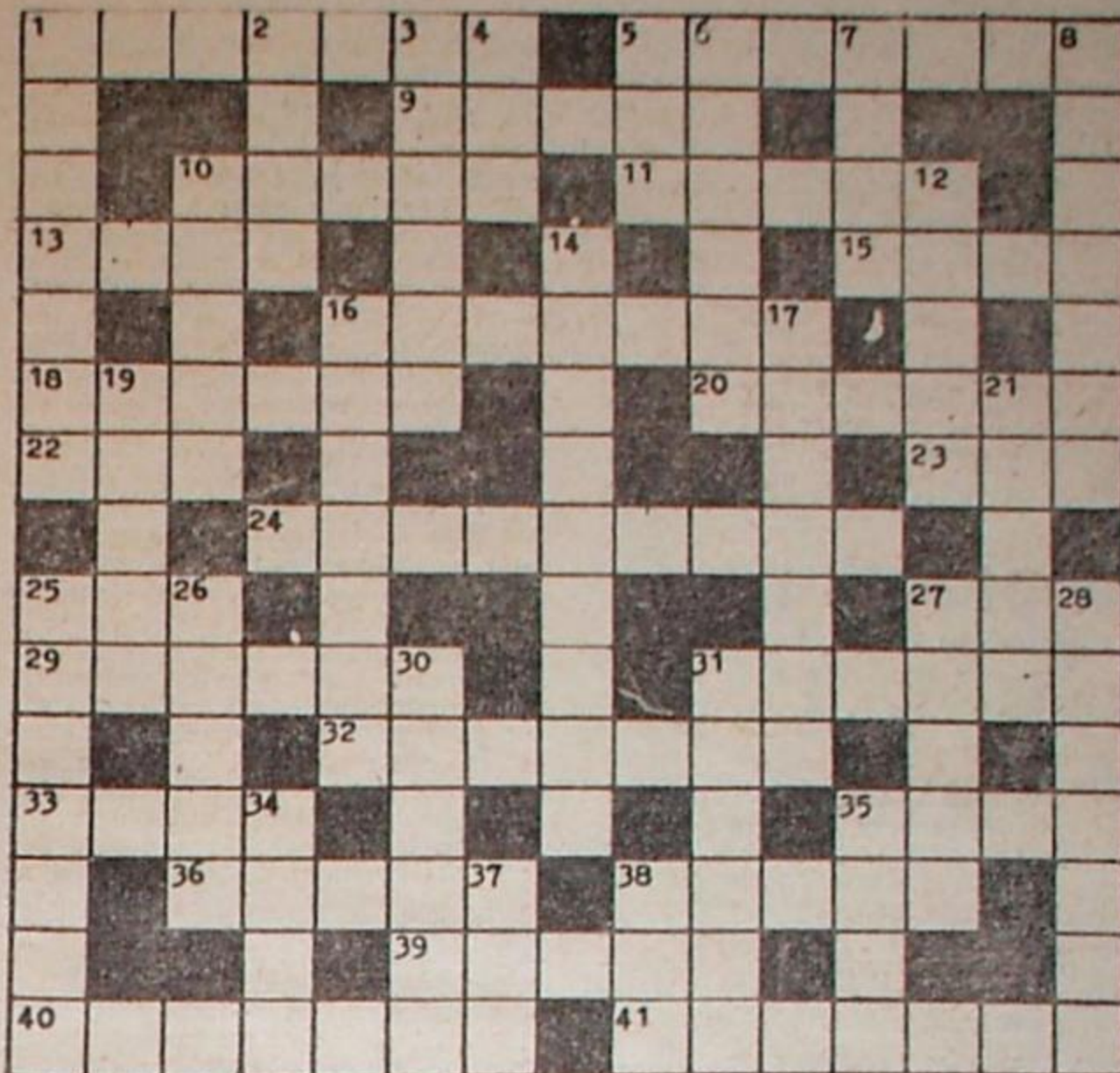
## ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 23

Poziomo: Penderecki, Kamera, Suchodolski, Karibu, srebro, zbiór, teczka, iks, siódła, awiz, zupa, аренда, moc, adwent, demon, insekt, Anglia, immunologia, Bratny, Kiełsoński.

Pionowo: skok, smar, grab, ekumenizm, ekonom, chleb, sierżant, Azja, Inez, ustawa, zwiad, Indie, Twardzki, Chelm, Kaden,

szereniak, Sparta, wróg, niel, bielmo, onuce, nurt, luty, azyl.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 23 książki wylosowali: Eugenia Bożyk



20-218 Lublin, Hutnicza 28/3, Irena Skibińska 20-689 Lublin, Szenwalda 34/35, Jadwiga Sadowska 20-313 Lublin, Łęczyska 59/21, Waldemar Dziuba 21-040 Świdnik, Środkowa 10/7, woj. lubelskie.



R. C. Lublin. Spodziewam się dalszego ciągu tej opowieści. Po pewnych perypetiach z rodziną wszystko się pomysłnie ułożyło i Janusz z Ireną stanęli na ślubnym kobiercu. Jeśli w tym, co powiedziałem wyczytał Pan ironię, nie odnosi się ona do samej fabuły. Dobrym pisarstwem da się uratować nawet powiastki kończące się stereotypowym „A potem żyli długo i mieli dużo dzieci”. Na dobrą sprawę ile życiowej szampy zawierają arcydzieła! Tylko styl, język, wyraz. To musi Pan wziąć pod uwagę. To pisarza odróżnia od pisarza. Rekę mistrza fortepianu poznać nawet wtedy, kiedy nie dotyka klawiszy Pan postępuje zbyt lopatologicznie w sensie pisarskim. I zbyt rudymenarnych, mało ociosanych używa Pan środków.

L. B. Rościszów. Ten przelewny, spojony rytm pańskiego wiersza wprowadził mnie na szlak dawnych poetyckich lektur. Lubie takie wspomnienia. Lubie też — co nie jest dziś popularne — regularną strofę. Jest w niej jakaś muzyka, która kompensuje intelektualny wymiar wyrażen wtedy, kiedy nie jest on najwyższej próby. Na dobrą sprawę, wiersza nie składa się z samych konstatacji choćby najtrafniejszych i najciekawszych. I nie mam tu na myśli wyłącznie międzysłowia. Mam na myśli tę zdolność przenoszenia uwagi ponad semantyczną warstwę utworu, która jest poezji cechą zasadniczą. Współczesna poezja nie wykazuje pod tym względem wystarczającej witalności. Nawet w sprawach emocji odwołuje się przede wszystkim do intelektu. Pańskim wodom, łabędziom i kwiatom szczęśliwie udało się ominąć pasmo posuchy.

R.L. Zamość. Oczywiście, że nagroda literacka nie stanowi o wartości nagrodzonego utworu w sposób bezwzględny i nieodwołalny. Na fakt przyznania nagrody składa się wiele okoliczności, często natury pozartystycznej. A już w samej zasadzie tkwi wyraźna dowolność: dlaczego wyraził opinię całej czytającej publiczności ma być kilku ludzi składających się na sąd konkursowy? Pewnie, że nie rozstrzygnie się tych spraw drogą narodowego plebiscytu, ale skoro pojawiają się głosy mówiące o niepotrzebności, bo subiektywności krytyki literackiej, tym bardziej jest zastrzeżenie dotyczące werdyktów sędziowskich. Wszelako coś. Konkursy są faktem, co najwyżej można do nich nie przykładac najwyższej wagi. Podejrzewam jednak, że swoich uwag nie sformułował Pan bez szczytnej rozgoryczenia osobistego. Tym bardziej zalecam dystans. I prowadzenie dalej tego, co się zaczęło.

J. K. Annapol. Zdaje sobie sprawę do jakiego stopnia młody człowiek, który wszedł na drogę twórczości literackiej, a w swoim środowisku nie znajduje bodźców pomocnych, oczekuje pomocy ze strony redakcji, organizacji, wydawnictwa. Wszelako weźmy pod uwagę, że nie wszystko da się załatwić drogą korespondencyjną, a już specjalnie w tej dziedzinie. Czy w ten sposób wykreślić się od współuczestnictwa w kłopotach? Chciałbym jak najwięcej przydać się do ich rozwiązania. Ale nie mogę zastąpić życia, nie mogę podać sztucznych formuł w rodzaju „nałóż pracodawca”, „nie zrażajmy się przeciwnościami”, „nawet wiele początkowo były niedoceniani” itp., ponieważ one nie wynikają z konkretnych warunków, a tylko rzeczywistość ma prawo udzielać pouczeń. Co więc zostaje? Stop, bo sprzeciwiłbym się sam przed chwilą wypowiedzianym uwagom.

L. M. Radom. Opowiadania są zwarte, ściśnięte, nie ma w nich gadulstwa. Ale też i spraw ważnych ludzkich, godnych zachodu pisarskiego. Mam wrażenie, że cała energia włożył Pan w zewnętrzny kosmetyk słowa. W ten sposób czytelnik ujęty celnością kilku sformułowań przekonuje się, że — niestety — niewiele ma do przeczytania na większym obszarze tekstu. O paradoksy, bardziej się tu zalecają wyjątki niż całość. Ukazać charakter człowieka jego uwikłanie w los, mimo przeciwności dążności do znalezienia godnej postawy moralnej — tego mi zabrakło w tych tekstach, orzeczeń i usługujących na lepsze autorskie potraktowanie. Czy przez to należy zrezygnować z osiągniętej sprawności warsztatowej? Nie widzę takiej kwestii.

F.P. Lublin. Przeczytałem to z dużym zainteresowaniem. Przypuszczam jednak, że te teksty znajdują się akurat w „studium rozwojowym”, tak więc radziłbym wstrzymać się jeszcze z drukiem, gdyż następne z pewnością wykażą większą dojrzałość.

H. G. Werbkowice, P. A. S. Zagad, J. B. Wyszaków, F. P. Kraków, E. M. Redzio, W. K. Łódź, M. B. Końskowola O. M. Radzyń Podlaski — nie skorzystamy.

## Listy do kamery

### „POLSKI CHARAKTER”

Po przeczytaniu artykułu Ireneusza J. Kamińskiego pt. „Polski charakter” („Kamery” nr 22), zwracam się z prośbą o podanie mi adresu Polonii w Kassel w RFN, może osobście do pana Czesława Szablowskiego, który opiekuje się emigrantem naszym żołnierzem, w Doessel.

Chciałbym odnaleźć miejsce spoczynku mojego brata, Edwarda Fura, urodzonego 12 maja 1910 roku w Kielanówce, porucznika 17 pp. który był jeńcem wojennym oflagu VI B w Doessel i znajdował się wśród 47 jeńców uciekających z tegoż oflagu w nocy z 19 na 20 września 1943 roku.

Marian Fura  
Warszawa

Od redakcji: Spełniamy pańską prośbę. Mamy przy tym nadzieję, że publikowany tu list zwróci uwagę któregoś z byłych jeńców wspomnianego obozu, żyjącego w kraju.

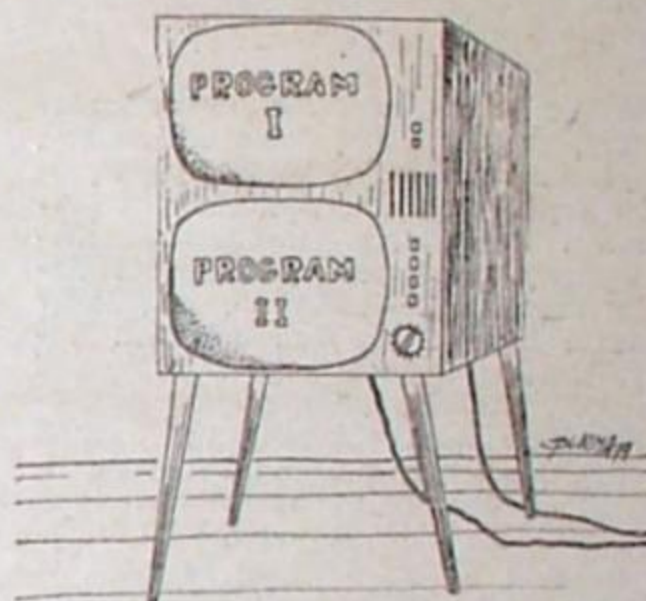
### „LUBLIN POWINIEN MIEĆ PIERWSZĄ LIGĘ!”

Po obejrzeniu dwóch ostatnich meczów piłkarskich „Motoru” i przeczytaniu wywiadu z trenerem Waligórą („Kamery” nr 22) doszedłem do wniosku, który chciałbym przedstawić redakcji. Dobra passa naszej drużyny spowodowała, że na jej mecz zaczyna przychodzić ludźmi różnych zawodów, którzy nigdy przed tym nie gościli na stadionie. Wiem coś na ten temat z własnego doświadczenia i od znajomych.

Marian Korniak  
Lublin

### ZAKŁÓCENIA

Produkujemy wiele bardzo dobrych urządzeń przemysłowych, ale niech się tylko coś w nich zepsuje, poszukiwanie części zamiennych psuje nam krew. Produkujemy telewizory kolorowe na najwyższym szóstym poziomie, ale nie daj Boże, aby coś takiego kosztownego (46 tys. zł) nabył np. mieszkaniec dzielnicy Czechów w Lublinie, którą „Kurier” określił kiedyś mianem dzielnicy XXI stulecia. Aparat, który trafi do mieszkania na tym terenie, nie chce w sposób czytelny, wolny od tzw. odbić, odbierać drugiego programu, za to chętnie pokazuje nam, jak wygląda rysunek średnich fal radiowych. Najciekawsze jednak, że nie jest to wierna kopia telewizora, ale... naszego myślenia, które wydadłoby dorodny owoc w postaci „Jowisza”, zmoczyło się woda nadmierne i przekaznik drugiego programu TV umieszczo w niezbyt wysokim punkcie miasta, koto ementarza. Stąd „duchy” — tak też ludzie nazywają odbicia — i brak nadziei na poprawę sytuacji, jako że silna stacja przekątnikowa w Piaskach nie wiadomo kiedy powstanie, mimo że była i jest w planie. Wyświetlanie fal radiowych na ekranach telewizorów zajmuje się natomiast nasz ukochany Boży Dar, który nijak podobno nie może zlikwidować tej szczególnej emisji. Jest to niemoc o tyle intrygująca, że czasami fale owe znikają



Rys. Jan Surma

z ekranu nawet na kilkanaście godzin! Więc może sprawność urządzeń tej stacji zależy od dobrej woli panów techników? Zastanawiające, jak można sprzedawać tak drogie i czule telewizory bez zapewnienia właściwych, zewnętrznych warunków odbioru.

Kazimierz Kowalski  
Lublin

P.S. W identycznej sytuacji są podobno posiadacze „Jowiszów” którzy mieszkają w niektórych zachodnich osiedlach miasta. Sprawa nie jest więc taka błaża, jednostkowa, a większej jeszcze wagi nabierze z chwilą zwielokrotnienia dostaw tych odbiorników do handlu, co nastąpi w przyszłym roku.

### WYJAŚNIENIE

W poprzednim numerze „Kamery” na str. 11 ukazały się wiersze (rozpoczynające się od słów „przyjdę do kogoś...”), które na skutek technicznego przeoczenia opublikowaliśmy pod niewłaściwym nazwiskiem, za co przepraszamy faktycznego autora tekstów, jak i osobę noszącą wydrukowane nazwisko. Przy okazji prosimy poetów o podpisywanie wszystkich swoich utworów, kierowanych pod adresem redakcji.

Red.

## Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wasniewski

Redaguje zespół: Maria Bechzyce-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego: Andrzej Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj otrzymują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach

- do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następnny,
- do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
- do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
- do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki społecznej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH” w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — u irzedat pocztowych.

Członkowie indywidualnie opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę otrzymuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH”, Centrala Kolportażu Prasy, Wdawnictw ul. Towarowa nr 28 90-938 Warszawa konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty w sprawach literackich przyjmując interesantów w poniedziałki i piatki w godz. 14-15.

Wydawca RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretarisa: redaktor naczelny 255-93 dział publicystyki i literacki 275-35  
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecony i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu 20251



# oko-lice sztuki

## O pożytku z tradycji

**S**TARAJĄ się o przyjęcie do tej szkoły, bo chcą zostać artystami. Niektórzy to już w pierwszej klasie okazują się być artystami, tę swoją przynależność do grupy wybrańców losu potwierdzając sposobem bycia — niepomni na łagodne perswazyje ludzi dorosłych, którzy wiedzą dobrze, jak trudna i pracowita jest droga do sztuki. Im jednak wydaje się, że budowanie wokół siebie scenografii atrybutów i grymasów stanowi działalność konieczną każdej indywidualności kreującej, która prę-

dziej czy później musi otrzymać od społeczeństwa coś w rodzaju nobilitującej aureoli. Nie wiedzą jeszcze, nie chcą wiedzieć, że ta aureola błyszcząca, owsem, ale z daleka, w zbliżeniu okazując się mieszaniną potu, nerwicy, sukcesu i zawiści. W tych swoich złudzeniach są jednak rozczulający i sympatyczni, cóż zresztą byłoby wariaci bez tych złudzeń?

Tymczasem szkoła, zgodnie z obowiązującym od trzech lat nowym programem nauczania, oferuje im opanowanie umiejętności praktycznych w zakresie wystawiennictwa i form użytkowych z drewna, ceramiki i tkanin, stosunkowo niewiele miejsca przeznaczając na malarstwo czy rzeźbę, która np. na formach wykładana jest tylko przez pierwsze dwa lata nauki. Kiedyś było inaczej, kiedyś młodzież lubelskiego liceum sztuk plastycznych była nieźle rozmalowana i rozsmakowana w różnych twórczych rzeźbiarskich, ale praktyczni ludzie z ministerstwa postanowili zmienić te proporcje, kierując się troską o gospodarce interesy kraju i los osobisty absolwentów. Dzięki temu dyplomanci szkoły mogą dziś spać spokojnie, bo jeśli nie dostaną się na studia, mogą wykonywać wiele prac pożytecznych, wynikających z profesji technika dekoratora. Zresztą i same szkoły tego rodzaju przyczyniły się do owej reorientacji programowej, domagając się ukierunkowania zawodowego.

Więc młodzież poznaje różne technologie, kroi, supla, lepi, wypala,

piluje i hebluje aż wióry lecą — mając na to wszystko sporo czasu, jako że ze szkoły całkowicie wyprowadzono biologię, zredukowano lekcje chemii do dwóch lat, a historii do trzech. Ale ta metoda sprowadzania ludzi na ziemię nie zdaje jako egzaminu w lubelskim liceum, noszącym zobowiązujące imię Cypriana Norwida. Jest to bowiem instytucja o długiej i specyficznej tradycji, zapoczątkowanej jeszcze w 1927 roku, kiedy to powstała Wolna Szkoła Malarstwa i Rysunku Ludwiki Mehofferowej, przejęta po kilku latach przez Janinę Miłosiową, dobrą malarzkę, która chciała i potrafiła kształcić artystów, korzystając z pomocy dydaktycznej takich indywidualności, jak Zenon Kononowicz czy Marian Tomaszewski (podczas okupacji). Po drugiej wojnie, kiedy to szkoła została upaństwowiona (1949 r.) wykładali w niej tacy interesujący ludzie i twórcy, jak Eugeniusz Baranowski i Henryk Zwołakiewicz. Już w tamtych odległych latach nauczano przedmiotów praktycznych, nigdy jednak nie zapominając o konieczności wpajania uczniom, że proste lepienie w glinie prosiaka jest w gruncie rzeczy aktem kreacji, skromnym, bo skromnym, ale jednak. I coś z tej atmosfery zostało w szkole do dziś, ujawniając się może nawet w sposób zdrowszy, albo tylko proporcjonalny do charakteru naszej rzeczywistości. Pani Halina Lipska, długoletnia dyrektorka liceum z największą bodaj satysfakcją pokazywała mi biblio-

tekę szkolną, aulę ze sceną i galerię wystawienniczą. No tak, w gabinecie dyrektorki obejrzałem jeszcze ceramiczne zwierzątka, które jako żywe spełnia doniosłą rolę w naszej gospodarce żywnościowej, ale stworzone grubasny i prozaiyczny był pięknie uskrzydłony — własnymi uszami, rozciągniętymi uczniowską dłonią do niebywałych rozmiarów.

Więc właśnie ta tradycja, jak sądzę, nakazuje nauczycielom liceum przy ul. Płazowej, pracującym nareszcie w godnych warunkach, na własną rękę podsuwać młodzieży to, co nazywa się kulturą humanistyczną. Wydaje mi się przy tym, że formalne potwierdzenie związków dzisiejszej szkoły z ową tradycją powinno być wyraźniej akcentowane, choćby w wymiarze rocznicowym. Liceum obchodziło w tym roku jubileusz 30-lecia istnienia, choć od inicjacji tej całej sprawy dydaktycznej w Lublinie minęło ponad pół wieku.

Liceum kształci techników dekoratorów, ale połowa absolwentów nie traci młodzieńczej fascynacji i dostaje się na studia, na ogół artystyczne. Rozjeżdżają się po świecie, zakładają rodziny i prywatnie pracownie ceramiczne, malują albo uczą, wykonują reklamy wikłają się w swoje życiowe sprawy. Ale kiedy liceum zwraca się do nich z ankietą, pytającą o ich los obecny, odpowiadają gremialnie, nawet ci co mieszkają w Nowym Jorku.

I tak rodzi się tradycja nowych generacji.

IJK

### Baran (21 III—18 IV)

Będzie takowy miernie bogaty, gniewliwy, prędko się jednak obaczający, zmyślny, wdzięczny, kłamliwy, wysokich myśli zbyt nie kochający, w towach i wszelakiem myślistwie nie-szczęśliwy. Stan też rycerski nie nadaje mu się. Z bracią nie zawsze w zgodzie będzie. Ma być człowiek dobry, towarzyski, miernego i pozornego wzrostu, wielkich oczu, oblicza długiego. Będzie miał szczęście na wschód słońca. Barwy różnej niech używa, oprócz czarnej. Dzieci, które się pod tym znakiem rodzą, są odważni i śmiały, dostaną wiele pieniędzy za żoną, w handlu mają szczęście. Kobiety bywają zalotne, ale złośliwe. Doczekają się licznej rodziny.

### Byk (19 IV—20 V)

Będzie takowy śmiały, szczęśliwy na urzędach, albo w niebezpieczeństwach trudnych. Oblicza będzie cudnego, milczący, zamię na ramieniu i piersi mający. Barwa zielona i czarna nie będzie mu szczęśliwa. Trzeba mu się psa chronić nade wszystkim. Dzieci, które się pod tym znakiem rodzą, są miłośnikami uciech, wesołości i śpiewu, do kobiet mało mają szczęścia. Szczęście im się uśmiechać będzie, lecz w starości dopiero dojdą majątku.

### Bliźnięta (21 V—20 VI)

Kto by się w ten czas rodził, ma być piękny, mądry, miłośni, o sobie wiele rozumiejący, chytry, pielgrzymujący, u panów szczęśliwy i wielomówny. Będzie pieczysty, zamię na rękach mający. Barwa mu czarna nie będzie służyć, szczęście jego gości na zachodzie słońca. Dzieci, które się pod tym znakiem rodzą, mają zdolność do sztuk, nauk i mądrości, dobrze się uczą. Są żartobliwi, zabawni i wesołego humoru. Kobiety mają skłonność do sztuk pięknych.

### Rak (21 VI—22 VII)

Będzie śmiały, wzrostu wysokiego, szczęście mu oporem pójdzie, pełen złości, symulant wielki, gniewliwy długo, w rękach i nogach niemocny, rany nie ujdzie. Zamię jego na boku. Będzie miał urząd, z którego się wyżywi, w wielkich będzie (osobliwie na wodach) niebezpieczeństwie. Poszczęści mu się znaleźć skarb, otrzyma też zwycięstwo, ale wielka niemoc mu grozi. Dzieci zrodzone pod tym znakiem są bystrego dowcipu, wielkiej pamięci, mają rozum i lubią rozkosze. Kobiety przebiegłe są i niewdzięczne.

### Lew (22 VII—22 VIII)

Kto by się w ten czas urodził, będzie pyszny, wymowny, namświeca niemilostni, twardy, nieużyty. W

## ZAMIAST „NOSA” HOROSKOP

### Z 1668 ROKU!

niebezpieczeństwach ratuje się śmiało. Ciało będzie białego, zębów wielkich, zamię jego na piersiach. Na urzędach ma być postawiony, niemoc w jego żywocie. Wody mu bardzo grożą, zarówno morskie, jak i rzeki. Jego szczęście we wszelkiej barwie, oprócz czarnej. Dzieci, które się pod tym znakiem rodzą, odznaczają się trwałym zdrowiem i są dużego temperamentu. Chłopcy lubują się spędzać noce poza domem, a w dzień syplac. Kobiety lubują się w przyrodzie, w kwiecie i wleńcach. Mają one upodobanie do dzielnych wojowników.

### Panna (23 VIII—22 IX)

Kto się w ten czas rodzi, będzie obycajów dobrych, wdzięcznej mowy orator, do wszystkiego sposobny, nie leniwy, oblicza cudnego, wysokiej myśli, białymgłowom przychylny, sprawiedliwy, dobry, mądry, uczciwy, poradny, miłośni, przyjaciel użyteczny i będzie miał wzięcie u ludzi znacznych. Dzieci, które się pod tym znakiem rodzą są sprytny, uważne, towarzyskie i w towarzystwie wesołe. Czystość i porządek są ich zaletą. Kobiety są przenikliwe i unikają groźnych im niebezpieczeństw.

### Waga (23 IX—22 X)

Kto się w ten czas urodzi, będzie niepowsięgliwy, ale we wszystkich zabawach pracowity. Na drogach szczęśliwy, wzrostu niepozornego, na nieprzyjaciela odważny, sławy dobrej, a na starość przyjdzie ku godności. Na wschód słońca szczęśliwie można się pokierować. W barwie czarnej nie poszczęści mu się. Dzieci, które się pod tym znakiem rodzą, są umysłu łagodni, szczerzego serca, skromni, spokojni, kochający prawdę. Białogłowy pójdą między 18-tym o 21-szym rodem za żonę. Kto się pod Wagą narodził, ma być prawdziwy, nie kłujący, obycajów swoich nie plamiący, mając nos wielki i plecy wielkie, będzie chodził po dalekich ziemiach.

### Niedźwiadek (23 X—21 XI)

(dalszejszy Skorpion)

Będzie gniewliwy, zdrójca, obmowca, pośmiewca, przechytra, przewrotnik, ozdobnie z ludźmi mówiący, a w sobie jad tający, cudzołóżnik nieustawicz-

ny, szpetnie mówiący, wielomówny, zwyciężca też będzie swoich nieprzyjaciół, panom wielkim służyć będzie i z wielkimi korzyściami dla siebie i dochodami, i z jego frantostwa będą się w nim niektórzy kochać. Dzieci, które się pod tym znakiem rodzą, są bystrego dowcipu, przebiegli, chytry, gniewliwi, mściwi, przemysłni, podlegają wielu słabościom.

### Strzelec (22 XI—21 XII)

Będzie oblicza pięknego, dobrej mowy, u ludzi zacny, u panów wzięty. Będzie rad pielgrzymował w dalekich krajach, zwłaszcza na wodach, stąd mu pożytek, ale zażyje niebezpieczeństwa. Sprawy poważne na urzędzie traktować będzie. Dzieci, które się pod tym znakiem rodzą, są obrotni, łagodni, wyrozumiali, rozumni, wykonują swoje czynności rozróżnie i dokładnie. Kobiety są zarozumiałe i będą wzorowe matki. Strzelec ma moc w ramionach, wesoły, dobrej wymowy, czerwonej barwy ma się wystrzegać.

### Koziorożec (22 XII—20 I)

Będzie gniewliwy, małej opinii, pracowity, swarliwy, na przygodach cierpliwy, niestateczny, miernie bogaty, z ludźmi nieczemnymi przestający. Wesoły, wdzięcznej mowy, oblicza podługowatego, czerwonego w barwie, co zaś dostanie w korzyści dla siebie, to przez niestateczność przyrodzoną wśród złych ludzi prędko straci. Dzieci, które się pod tym znakiem rodzą, są złośliwi, melancholiczni, skłonni do smutku i myśli posępnych. Kobiety będą lekkomyślne i niestałe w miłości. Koziorożec obdarza człowieka słodką wymową i pięknym spojrzeniem. Taki człowiek ma być wielkiej mocy, wiele obiecujący, a mało dający. Czarna barwa mu nie służy.

### Wodnik (21 I—18 II)

Nie będzie bogaty, będzie jednak u ludzi znacznych dobrze zachowany. Nastąpi na niego niebezpieczeństwa, z których zaledwie będzie ratowany. Będzie jednak patronem i dobrodziejem tych, którzy nauk wyzwolonych pilnują. Nawiedzi cudze kraje, ale nie bardzo szczęśliwie. Na wodach szkoda mu się bawić — dla różnych niemocy, które będą mu szkodliwy. Będzie oblicza



Rys. Wiesław Fuglewicz

cudnego, mowny, inne na języku, a inne na sercu myśli i intencje mający. Szczęście jego w czarnej barwie się znajduje, przypada na wschód słońca. Dzieci, które się pod tym znakiem rodzą, mają usposobienie do nauki i umiejętności, są małowodne i niechętnie wydają swoje tajemnice. Kobiety dużo podróżować będą i mają zostać bogatymi. Mało będzie miał krwi, będzie miał dobrą wolę i nauki będzie posiadał. Będzie miłośnikiem sprawiedliwości.

### Ryby (19 II—20 III)

Dobrej pamięci, przyjemny, wdzięczny, miły, trochę wyniosły, różnym niebezpieczeństwom podległy, sprawny, śmieszny, śmiały, w znalezieniu skarbow szczęśliwy, gospodarz dobry, nie-szczęście go spotka dla białej głowy. Będzie miernego wzrostu, krótkiej szyi, ale dobrze wypije. Jego szczęście na południu mu towarzyszy. Może wszelkiej barwy zażył z korzyścią dla siebie oprócz czarnej. Dzieci, które się pod tym znakiem rodzą, są zdolni do wszystkiego, przyjacielscy, chętnie służą wszystkim. Kobiety będą enotliwe i pracowite, a szczęśliwy małżonek, który będzie posiadał taką żonę. Czarnego koloru niech się strzeżają.

L. Prognostyka albo przestrogi obrotów niebieskich względem przypadków wszelkich, któremi Niebo przegrza, przez Stanisława Słowakowicza, nauk wywołowuch y Filozofii Doktora y Profesora w Sławny Akademii Krakowskiej, Astronologii y Mieczystym Collegium Geodynyusza upatrzona — 1668 r.l.